

19

ST. WOTOWSKI



61



TEKA

61

Weska

ADYSLAV, WESKA
KASJANKI * 1929R

61

61

ROBIETY W ŻYCIU
WIELKICH LUDZI



STANISŁAW WOTOWSKI

K O B I E T Y
W Ż Y C I U
W I E L K I C H L U D Z I



61

WŁADYSŁAW, WĘSKA
□ ZKAJANKI □ 1929R

BIBLIOTEKA DOMU POLSKIEGO
WYCHODZI 3 RAZY W MIESIĄCU
REDAKTOR I WYDAWCA IG. PŁĄŻEWSKI

WARUNKI PRENUMERATY

z przesyłką pocztową:

	a) Wydanie luksusowe na grubym, wykwintnym papierze		b) Wydanie zwykłe	
	w brosz.	w opraw.	w brosz.	w opraw.
Kwartalnie . . .	zł. 9.90	zł. 17.10	zł. 6.50	zł. 9.75
Półrocznie . . .	" 19.50	" 34.—	" 12.50	" 19.—
Rocznie	" 38.—	" 67.—	" 24.—	" 37.—

TOM 16

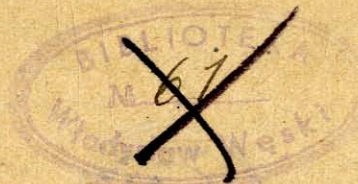
OG. ZBIORU T. 115

ROK WYDAWNICTWA CZWARTY

STANISŁAW WOTOWSKI

61

K O B I E T Y
W ŻYCIU WIELKICH LUDZI



WŁADYSŁAW WESKA
□ ZKAJANKI 1929R

BIBLIOTEKA DOMU POLSKIEGO

Okładkę projektował art. - ma. Henryk Nowina - Czerny
Tłoczono w Zakładach Graficznych
B. Wierzbicki i S-ka
w Warszawie.



115034

K-60/81 130325

WŁADYSŁAW, WĘSKA
□ ZKAJANKI * 1929 R

61

Wielu wielkich mężów w ujemny sposób odzywało się o kobiecie. Voltaire gotów był oddać dwie żony temu — kto zabierze mu trzecią. Konfucjusz przepędził swą połowicę, ponieważ przeszkadzała mu w pracy. Powiadają, iż jakiś mędrzec starożytności przez lat trzy chodził z opuszczonymi oczami — byle wzrok nie padł na niewiastę.

Muzułmańscy filozofowie, opierając się na Koranie, tudzież doświadczeniu życiowem, takich rad udzielają:

„Skoro znajdziesz się wobec sprawy poważnej a trudnej — zwołaj przyjaciół, ugość należycie, proś o radę — i postąp wedle ich zdania. Jeśli nie masz przyjaciół — zwołaj przechodnia — w jego mądrości szukaj pomocy. Lecz jeśli nie masz ani przyjaciół, ani znajomych, ani odszukać nie możesz nawet przechodnia — udaj się do twej żony. Wyłóż jej wszystko, wysłuchaj cierpliwie, co ci powie — a następnie uczynj wprost naodwrot, jak ci doradziła!”.

Ale nie wszyscy ludzie genialni tak nieprzychylnie się wyrażali. Goethe nazywał nie-

5

wiaść „Koroną wszelakiego stworzenia“, zaś Shiller pisał:

*Ehret die Frauen, sie flechten und weben.
Himliche Rosen ins irdische Leben! *)*

Zdania są więc podzielone, a jeśli w słowach niektórych poetów brzmi nuta rozgoryczenia — to tylko dlatego, iż zbyt wiele włożyli serca, w kobiety, może serca niegodne, a pamięć o doznanych „krzywdach serdecznych“ pozostała. Ta pamięć! Toć niedarmo Mickiewicz swój wiersz, zatytułowany „Do M.“ tak rozpoczyna:

*Precz z moich oczu!... posłucham odrazu;
Precz z mego serca!... i serce posłucha;
Precz z mej pamięci!... Nie — tego rozkazu
Moja i twoja pamięć nie posłucha!*

Odgrywały więc kobiety w życiu wielu wielkich i genialnych ludzi rolę znaczną. Pod ich drobną rączką formowały się charaktery, dzieje żywota... ba, twórczość sama. Czasem padały one ofiarą swych nieprzeciętnych kochanków, czasem genjusz topniał pod złośliwą dłońią, a samo pasmo życia przecinało się tragicznie. Przytem miały przywilej wcale znaczny: ileż

*) Składajcie cześć kobietom! One wplatają niebiańskie róże w ziemskie życie!

nicości i „puchów marnych“ przeszło do potomności li tylko dlatego, że łączył je stosunek dłuższy lub krótszy z niepospolitym artystą, politykiem, poetą czy monarchą...

Te to niektóre wypadki ciekawych dziejów pragnę w niniejszej pracy przedstawić.

St. A. Wołowski

W I E L K A T E O D O R A .

Najmniejszą wadą kobiet, które się oddają miłostkom — są ich miłostki.
La Rochefoucauld.

Jesteśmy na początku VI w. w Bizancjum.. Potoki słońca zalewają złociste kopuły kościołów, tonące wśród zieleni wspaniałe pałace patrycjuszów, w ich blaskach migocą tysiącami barw, bogate mozaiki, któremi rozrzutnie ozdobiono domy... Tam i sam z zalotnym uśmiechem, podzwaniając ciężkimi złotymi bransoletami, snują się kobiety, dyszące namiętnością i południowym żarem.

Kupcy zachwalają wschodnie towary a młodzież ściga wzrokiem niewieście sylwetki, poszukując towarzyszek do uniesień Erosa...

Jesteśmy na początku VI w. w Bizancjum, a więc na rubieży starożytności i wieków średnich, na rubieży Europy i Azji... Usta tam jawnie szepcą chrześcijańskie modlitwy, lecz w sercach tkwi jeszcze głęboko kult pogańskiego piękna; czoła chylą się kornie przed posągami

świętych, lecz oczy miłośnicie się wznoszą do promienistego Apollina i słodkiej w swem wyuzdaniu Wenery... Świat jest niby inny, lecz w gruncie pozostały jeszcze tradycje dekadencji Romy i poetycznej mitologii Hellady...

W cieniu marmurowego portyku stoi dwóch młodzieńców. Ich posągowe, niby w kamei rzniete profile, świadczą, iż należą do potomków władców świata. W pozie znać pewną zniewieściałość, włosy mają kunsztownie trefione, palce pokrywa szereg drogocennych pierścieni.

— Patrz — szepcze jeden z nich, wskazując przechodzącą kobietę. — Klnę się na Bachusa — to istna Afrodyte!

— Ech! — krzywi się pogardliwie drugi.

Mijała ich właśnie wysoka blondynka, nie dbale otulona w cieniutkie tkaniny. Z pod nich wyzierały, jak toczony posągowe kształty, godne dłuta Fidjasza. Szła w aureoli swych złotych włosów, lekko, lubieżnie kołysząc się w biodrach. Przechodząc obrzuciła obserwujących spojrzeniem wielkich niebieskich oczu, w którym było coś z niewinności dziecka i coś z wyuzdania bachantki.

— Czemuś się skrzywił? — pytał dalej pierwszy. — Któż to?

— Nie znasz? — odparł ze śmiechem pytany — Teodora, kurtyzana!

— Cóż z tego! Pragnę ją poznać! Wszak z urody bogini!

— Nie licuje patrycjuszowi rozmawiać z taką dziewczką!

— Czemu? Nie rozumiem?

— Widać, żeś niedawno przybył do stolicy! Toć nie dalej, jak dni parę temu na uczcie u Marka Septimusa, czyniła takie bezecenstwa, że aż wstyd mnie, rycerzowi o tem wspominać!... Nie szlachetna hetera to, a najgorsza ścierka...

— Co słyszę?

— Chyba szatan obdarzył ją dziwną urodą... Lecz mimo rozkosznego ciała, już wstręt tylko budzi!

*

Słyszeliśmy niezbyt pochlebne zdanie o kurtyzanie Teodorze, o tej Teodorze, co władczynią najpotężniejszego państwa stać się miała, a na której głowie stara korona bizantyjskich cesarzy jarzyła się nieprzeciętnym blaskiem chwały i sławy! Czy to możliwe? Ta sama Teodora, nierządnicą? Tak! Ta sama! Bowiem nie istnieje na świecie rzecz tyle niemożliwa, by możliwą nie była.

Lecz przody nieco biograficznych danych: Teodora urodziła się w 501 r., jako córka prostych i bardzo ubogich rodziców. Jej ojciec,

Acatius zajmował „wysoką” posadę dozorczy cyrkowego. Zmarł około 511 r., pozostawivszy po sobie nieutuloną w żalu wdowę, — która pośpieszyła co rychlej poszukać sobie nowego, aczkolwiek niezupełnie legalnego małżonka, — oraz trzy córki: najstarszą Komitę, średnią Teodorę i najmłodszą Anastazję.

Uczucia miłosne winny się zawsze obracać w jednej sferze. Kochankiem pani Acatiusowej został również dygnitarz, czyli mówiąc wyraźnie stróż przy amfiteatrze, w którym odbywały się konne igrzyska dwóch największych wówczas partij: „niebieskich” i „zielonych”. Gdy jednak po dłuższej służbie to u „zielonych”, to u „niebieskich”, stracił posadę, wdowa jęła się fachu najbardziej intratnego po wszystkie czasy, mianowicie poczęła stręczyć najstarszą Komitę przygodnym przechodniom. By zaś fach ten stał się jeszcze bardziej lukratywnym, wy kierowała czasem córkę na „artystkę”.

Wprawdzie ten artyzm zacna mama pojmo wała swoiście: polegał on na tem, iż pojawiała się Komita w różnych pantominach i żywych obrazach możliwie rozebrana — lecz właśnie o to najbardziej chodziło a dobrobyt w domu poczał kwitnąć.

Musimy przyznać, że w podobnych warunkach posiadała młoda Teodora wychowanie zna-

komite. Nosila za starszą siostrą taburet, na którym ta podczas przerw w przedstawieniach odpoczywała, w domu zaś usługując w czasie częstych libacji z „wielbicielami talentu”, uzupełniła wykształcenie, słysząc wciąż piosenki i rozmowy, wcale niedwuznaczej treści.

To też i ona z kolei, zachęcona świetnym przykładem, gdy za ledwie miała lat czternaście, została „artystką”.

Nie była ani tancerką, ani śpiewaczką, lecz popisywała się, jako akrobatka i mimiczka. Wspaniale rozwijająca się dziewczyna, w roku piętnastym skończona piękność — nie zapomniajmy, że działo się to w Bizancjum, gdzie kobiety dojrzewały znacznie szybciej — zwróciła na siebie powszechną uwagę i skoro tylko ukazywała się na scenie, powstawała burza oklasków.

Nic niema nowego pod słońcem. Zmartwię tu wszelakich propagatorów „gołej sztuki w teatrze”! Występowała Teodora całkowicie nago, jedynie opasana szeroką jedwabną szarfą, z przodu zawiązaną w węzeł szeroki. Lecz i to jej ciążyło i skarżyła się stale biedna, że policja, nie posiadająca zrozumienia prawdziwego piękna po wszystkie czasy, zabrania występować bez wszelkich osłonek. Też srodze pokrzywdzona folgowała sobie podczas prób, wprawia-

znużoną i wyczerpaną. Toć podobne życie, może wyniszczyć najpotężniejszy organizm!

Z trudem dociera do stolicy, chora, wynędzniała, przybita, wszak wszędzie ją czeka obojętność, lub wzgarda.

Co dalej?

*

W Bizancjum ulitowała się nad nią jakaś, zamieszkała w domku na przedmieściu wróżka starucha i przygarnęła do siebie.

— Babciu! co to może być — pytała ją raz Teodora — śnił mi się dziś królewicz taki piękny, chciał mnie obsypać całą złotem...

— Ziści się, ziści dziecko — zamruczała stara, spoglądając na słup dymu z komina — dym idzie prosto ku górze Tylko pracuj teraz, odkup twe grzechy, dużoś nabroiła...

Rzeczywiście Teodora jakby zmieniła się zupełnie. Czy było to wyczerpanie fizyczne, czy obrzydzenie do dawnego życia, co wzamian za hańbę dało tak mało, lecz niemal nie wychodziła z domu, przędząc len, by z trudem zarobić na skromne utrzymanie... Gdy po rocznym blisko skromnym żywocie znów w pełni zakwitła jej krasa, zjawił się istotnie królewicz z bajki, bo i ci czasem nietylko w powieściach, ale i po świecie chadzają...

Siedziała skruszona grzesznica przy oknie, wśród róż, gdy nagle zabrzmiał głos:

— Czy nie wstydz, by podobny cud natury był ukryty wśród kwiatów!

Podniosła oczy. Przed nią stał młodzieniec, może nie wielkiej urody, lecz imponującej postaci. Coś władczego i pewnego siebie przebijało w nim, to „coś“, co tak łatwo uwodzi kobiety.

Teodora nie opuściła wzroku. On począł mówić, jak pokochał ją od pierwszego wejrzenia, jak pragnie widywać się często, choćby codzień...

Teodora nie opuściła wzroku, jakby pytając kto jest ten, co tak śmieje przemawia. Oczywiście przeszłości nie znał, mówił z szacunkiem.

Młodzieniec opowiadał, iż jest biednym rycerzem, przybył do stolicy świata szukać kariery. Teraz pragnie podwójnie ją zdobyć aby... aby... posiadać taką towarzyszkę na życie całe...

Rozpoczęła się sielanka. Przy blasku księżyca, w dni parę, zamieniono wieczyste przysięgi. Włożył jej na palec skromny żelazny pierścień, na jaki stać było biednego rycerza. Teodora nie mogła mu dać nic wzamian prócz swych ust. Lecz może ofiarowała mu bardzo wiele, bo dała swą miłość. Ona, która dotychczas znała tylko zmysły, poczuła, iż poza ciałem



jest jeszcze coś więcej. Wyrwana z pod wpływu matki, siostry i wyuzdanego otoczenia przerozdziła się zupełnie, a że niema lepszych żon nad grzesznice, przysięgała, iż nigdy grzeszyć nie będzie.

Rycerz bywał coraz częstszym gościem, nie ukrywał się zgoła. Gdy razu pewnego ujrzała gościa stara wróżka, oniemiała z podziwu i za-bełkotała:

— Ty... ty... tak z nim... Ależ to najdostojniejszy nasz pan... Justynian... krewny cesarza...

Istotnie romantycznym kochankiem był Justynian, wprawdzie chłop iliryjski z pochodzenia, lecz domniemany następca tronu.

Stosunek z Teodorą przyniósł mu szczęście. Już w pierwszym roku został mianowany konsulem, w dwa lata zaś później oficjalnie ogłoszony jako następca.

Wraz ze sobą pociągnął ukochaną. Wyrobił dla niej stan patrycjuszowski oraz pozwolenie bywania przy dworze, gdzie wszyscy schylali czoła przed jej urodą i wdziękiem.

Jedni udawali dyplomatycznie, że nie poznają byłej hetery, innych zaś potrafiła Teodora potraktować tak, iż odechciało im się żartów na temat starych grzechów i grzeszków. Co prawda, z minionych dni zachowała ona jedno przyzwyczajenie: lubiła pieniądze i sprzedawa-

ła za nie nie samą siebie, lecz swą protekcję, dzięki czemu doszła do znacznych bogactw.

Jeśli Justynian nie brał ślubu z ukochaną, to były po temu dwie przyczyny: stara cesarzowa Eufemja, niemogąca darować skandalicznej przeszłości akrobatki i matka przyszłego cesarza, zwykła chłopka, która przyszła go błagać na klęczkach, by nie czynił podobnego wstydu.

Prócz tego kardynalne prawa cesarstwa zabraniały senatorom, nie mówiąc o księżętach krwi, wstępowania w związki małżeńskie z komedjantkami, córkami historjonów i wogóle kobietami niższej sfery.

Zdawałoby się, że przeszkody są nie do zwalczenia, a jednak rozmiłowanemu Justynianowi udało się je przezwyciężyć. Cesarzowa Eufemja umarła w 523 r., roku następnego cesarz Justynian I uchylił specjalnie dla siostrzeńca uciążliwe prawo — i Justynian, nie zważając na lzy matki, która pono ze zmartwienia umarła, wziął ślub z Teodorą.

W trzy lata później, w wielki czwartek 527 r., cesarz będąc chory i czując zbliżającą się śmierć, zawezwał małżonków do swego łoża i nadał im tytuł „najdostojniejszych” (augustos), a w pierwszy dzień Wielkiejnocy, metropolita Szczepan włożył korony w bazylice św. Zofji na głowy byłego iliryjskiego chłopca i byłej nie-

rzędniczy, powołanych do zajęcia cesarskiego tronu.

Gdy po tej ceremonji Justynian wraz z Teodora udali się na Wielki Hipodrom, służący w niektórych wypadkach za forum, plac publiczny drugiego Rzymu, by ukazać się ludowi w całej chwale majestatu, lud powitał ich entuzjastycznie. Nigdzie nie rozległ się szmer, ani wykrzyk ironiczny.

Patrycjusze, rycerze, wojacy — ci wszyscy, którym niegdyś sprzedawała się Teodora — nie oburzyli się tą sceną i wielce radośnie wnieśli na swych barkach do pałacu nowych władców Bizancjum.

W parę miesięcy później zmarł Justynian I a Justynian i Teodora de facto objęli rządy państwem.

*

Przyznać trzeba, iż w dziejach mało spotyka się kobiet obdarzonych równym taktem i rozumem, co cesarzowa. Kiedy zdążyła ona była nabrać podobnej oglądy a nawet wykształcenia, pozostaje zagadką i zgodzić się chyba wypadnie na teorię o wszechpotędze kobiety, umiejacej w przeciągu chwili przedzierzgnąć się z kopciszka w królownę, z kucharki w artystkę...

Od pierwszego niemal momentu wstąpienia na tron, Teodora zdobywa powszechną sympatję, staje się symbolem piękna i harmonji, jak niegdyś była symbolem nierządu i skandalu.

Dziś Bizancjum należy do niej, jak niegdyś ona należała do Bizancjum! Teodora kurtyzana, Teodora akrobatka jest imperatorową! Ona, co wytarła swem ciałem wszystkie dzielnice stolicy i nie odmawiała niczym żądom, dziś jest wszechwładną i wszechpotężną. Nikt nie ośmiela się wystąpić przeciw niej z zarzutami albo protestem! I to nie dlatego, by się obawiał, lub w myśl starej maksymy milczać musiał, bo „żona cesarza ma być wyższą ponad wszelkie podejrzania”!

Nie! — Teodora swem zachowaniem podbiła wszystkich, wszystkich pociągnęła na swoją stronę.

To też sędziowie, prefekci, prałaci, biskupi, rycerze, dostojnicy i dygnitarze taką składają przysięgę bez wahania:

„Klnę się na Boga Ojca Wszechmogącego, Syna Jego Jedynego i Ducha Św., Najczystsza Dziewicę Marję, na cztery Ewangelje, które trzymam w mych dłoniach, Świętych Archaniołów Michała i Gabryjela, iż wiecznie wierny będę władcóm naszym najdosłojniejszym imperatorowi Justynianowi i jego małżonce Teodorze”.

Lecz jeśli Teodora pod wpływem miłości przerodziła się zupełnie, jeśli doprawdy chwila-
mi wydaje się, iż to nie ta sama kobieta zajmu-
je stary tron Bizancjum, to dalsze jej losy bę-
dą jeszcze bardziej zadziwiające.

Teodora bardzo szybko oswaja się z machi-
ną państwową i różnie szybko usiłuje pochwy-
cić ster władczy w swe piękne rączki. I nie po-
wiedziałyby, że z niekorzyścią dla państwa!
Przerasta ona męża pod względem woli i siły
charakteru i w ciężkich sytuacjach potrafi być
więcej męską i stanowczą, niżli on sam.

Cztery lata panowania upłynęły spokojnie,
lecz w roku piątym powstały w Bizancjum za-
burzenia, zagrażające nie tylko tronowi lecz i ży-
ciu monarchów. Jak wiemy istniały w stolicy
dwie partje: arystokratyczna „niebieskich” i de-
mokratyczna „zielonych”. Justynian silnie pro-
tegował, jako podpory tronu „niebieskich”, któ-
rzy rozzuchwaleni jego poparciem, łamali pra-
wa i dopuszczali się nadużyć, starając wszelkie-
mi sposobami zgnać przeciwników. „Zielonym”
się to w końcu znudziło. Zapragnęli o swych nie-
szczęściach donieść osobiście cesarzowi, lecz
przekupni dworacy, w większości „niebiescy”
nie dopuścili delegacji przed oblicze Justynia-
na. Ci wówczas zorganizowawszy się, obrali za
hasło słowo „zwycięstwo” i postanowili obalić

Justyniana a na jego miejsce ogłosić, wnuka
Anastazego I cesarzem.

Całe miasto zostało ogarnięte buntem, grożą-
cym zburzeniem stolicy.

Justynian, w swym świętym pałacu, daleki
od szumu i zgiełku miasta, oczywiście nie wie-
dział o niczem. Przywilejem monarchów i zdra-
dzonych mężów jest, by o dokonanych faktach
dowiadawali się ostatni.

Gdy atoli rewolucji nie dało się dalej ukry-
wać, powiadomiony przez dworaków, stracił
głowę, przerażony jął wydawać najsprzeczniej-
sze zarządzenia. Obiecuje buntownikom wszel-
kie ustępstwa, to grozi surową karą, lecz za
chwilę cofa groźby i proponuje układy. Ci wi-
dząc słabość cesarza słyszeć nie chcą o niczem,
oświadczając, iż teraz sami sobie wymierzą
sprawiedliwość. Rewolta zatacza coraz szersze
kręgi, arsenał zostaje rozgrabiony, całe miasto
jest powstaniem ogarnięte, a Justynian trzyma
się li tylko w swym pałacu z 3000 garstką żoł-
nierza, wprawdzie pozostającego pod komendą
świątecznego wodza Belizarjusza (490 — 565),
lecz i jego również zaskoczyły niespodziane wy-
padki. Belizarjusz jest ślepo oddany cesarzowi,
prócz wierności łączy ich quasi podobieństwo
losów. I on ożenił się z Antoniną, ex-kurtyza-
ną, a zażyła przyjaciółką Teodory.

Obaj daremnie szukają i nie znajdują wyjścia. Justynian już widzi jak rozjuszony tłum zdobywa pałac i ciągnie go na rynek wśród wymysłów i bicia, by tam rozszarpać na kawałki.

Zbierają pośpiesznie radę najwyższych dostojników, obecnych w pałacu — lecz rada, jak rada — radzi a nic uradzić nie może. Zostaje ostatnie wyjście. Od trzech dni już bojowy okręt cesarski, naładowany kosztownościami, stoi przy pałacu w porcie. Wsiąść i uciekać — może buntownicy nie dogonią. Niezbyt to zaszczytne i bohaterskie rozwiązanie sytuacji, lecz cóż zrobić?

Gdy więc na ten pomysł zgadza się większość nagle pojawia się Teodora. Jak zwykle piękna i uśmiechnięta, jest niezwykle spokojna. Lecz słysząc głosy, proponujące sromotną ucieczkę, zrywa się z miejsca i z oburzeniem woła:

— Nie zgodzę się na ucieczkę — gdyby to nawet był nasz jedyny ratunek! Wszyscyśmy od chwili urodzenia skazani na śmierć — lecz ci, którym sądzonem zostało nosić korony nie powinni przeżyć ich utraty! Modłę się do Boga o jedno — by nikt nie widział mnie bez purpury, a gdy przestaną zwać mnie cesarzową, niechaj dzień zniknie dla oczu moich! Uciekaj samowładny — zwraca się do Justyniana — okręt gotów do drogi a morze wolne — lecz

strzeż się, by ta ucieczka, w której szukasz ratunku nie zmieniła się w wygnanie, a żywot, o który drżysz nie zakończył się śmiercią haniebną! Ja zostanę! Zrosłam się z purpurą i jej tak łatwo nie oddam!

Może w tych słowach prócz dumy, dźwięczy i nuta pyszałkowatości parwenjuszki, która z niemości dorwała się do tronu, lecz przyznać trzeba, że je cechuje niekobieca odwaga.

To też wrażenie słów Teodory było piorunujące. Justynian prostuje się dumnie, zaś w głosie Belizarjusza rodzi się plan walki.

Buntownicy, licząc na bezsilność cesarza, nie spodziewają się napaści i nie zachowują najdrobniejszych środków ostrożności. Zebrali się obecnie w Wielkim Hipodromie i radzą jak pałac zdobyć. Tam ich należy otoczyć i wybić do nogi.

Istotnie drobne oddziały wodza, pocichu, otaczają Wielki Hipodrom. Gdy część żołnierzy zajmuje wyjścia, czyniąc ucieczkę niemożliwą, inna wdrapuje się po przystawionych drabinach na mury i stamtąd zasypuje strzałami rebeliantów.

Ci z początku starają się stawić opór, bezskuteczny pod deszczem kamieni i grotów. Rzucają się ku wyjściu, lecz tam zastają sytuację, jak pod Termopilami: paru żołnierzy wystarcza,

by trzebić dziesiątki i setki. Niema ratunku! Samochcąc, przez nadmiar pewności, wpadli w pułapkę!

Rzucają się z jednej strony na drugą, bijąc się między sobą, stosy martwych ciał pokrywają arenę. Zaciekłość jest jednak taka, iż żaden nie prosi o łaskę. Śród największego tumultu wkraczają cesarskie oddziały i dobijają pozostałych przy życiu.

Z obecnych w Hipodromie buntowników nikt z życiem nie uszedł. Historycy liczą, iż miało zginąć zgórą 30.000 ludzi. Imperator i imperjum zostały ocalone!

Zwycięstwo nad partją „Zwycięstwa“, było niemal wyłącznie zasługą przytomności umysłu byłej akrobatki Teodory. Od tej też chwili ona niemal rządzi niepodzielnie. Nie ukrywa Justynian bynajmniej, iż we wszystkim zasięga jej rady, a w manifestach swych pisze tak „postanawiamy z woli naszej i naszej najdosłójniejszej małżonki, zesłanej nam przez Boga Najwyższego“.

*

Jak rządziła Teodora? Tu ciekawe nasuwają się w zestawieniu z jej przeszłością uwagi.

Wtrącała się chętnie do małżeńskich spraw, starając pogodzić zwaśnionych, również lubiła

kojarzyć małżeństwa. Rzeczą jest jednak charakterystyczną, przeważnie brała stronę kobiet, rzadko kiedy rację przyznając mężczyznom, jak gdyby na skutek dawnych przykrości zachowując pewną animozję do rodu męskiego. Pamiętając dobrze dolę i niedolę kurtyzany, wpłynęła na Justyniana, celem wydania szeregu praw w obronie niewiasty, więc prawa o rozwodach, o usynowieniu dzieci nieślubnych, o nadzorze nad handlarzami nierządem, o zwolnieniu komedjantów z niewoli, o prawie żądania przez uwiedzione zawarcia małżeństwa lub otrzymania czwartej części majątku uwodziciela i t. p.

Nie zatrzymała się Teodora na pisanych prawach wyłącznie. Wybudowała słynny Klasztor Bosforski dla dziewic nawróconych. Że jednak dość ostro postępowała ze swoimi ex-koleżankami, niech świadczy fakt, iż parę nierządnych dziewczyn, zamkniętych w pomienionym zakładzie z rozkazu cesarzowej — tak sobie uprzykrzyło cnotę, iż z rozpacy wskoczyło do morza.

Teodora prowadziła właściwie całą politykę, regulowała stosunki z innymi państwami, wypowiadała wojny i zawierała pokoje. Ona to namówiła Justyniana na pochód przeciw Gotom i Wandalom, który stał się jednym z najświetniejszych momentów panowania i zwrócił Bi-

WŁADYŚŁAW, WĘSKA
@ZKA

zancjum ziemie ongi stanowiące własność Rzymu.

Pod względem szerokości zamiarów i szczęśliwego ich wykonania Teodorę przyrównaiby można do Katarzyny II — są to dwie znakomite władczynie wśród kobiet.

*

Teodora jako cesarzowa nie pozbawiona była przywar i błędów. Nie znosiła sprzeciwów. Gdy osobisty sekretarz cesarza Prisk Paflagonijski ośmielił się jej nie posłuchać, dając do zrozumienia, iż uważa ją tylko za żonę Justyniana — kazała go w nocy porwać, wywieźć cichaczem do Azji i tam osadzić w jakimś klasztorze. Justynian, który był tak słabym, że nie umiał się w niczem żonie sprzeciwić — udał, że nie wie o niczem i wkrótce nieszczęsny, zbyt służbisty sekretarz, został całkowicie zapomniany. Z drugim wrogiem Teodora postąpiła jeszcze okrutniej.

Nienawidziła szczerze Joana, późniejszego prefekta Kapadocji, który nierzadko przebąkiwał o „babskich rządach“. Lecz jak go się pozbyć? Był zbyt poważnym człowiekiem, by można było się z nim obejść jak z Priskiem.

Wobec tego namawia swą przyjaciółkę, Anto-

ninę, żonę Belizarjusza, o której już wspominałem, by wmówiła Joanowi, iż szykuje się zamach, mający na celu usunięcie cesarza, gdyż wszystkim Teodora się znudziła i że nawet Belizarjusz należy do spisku. Czy to z powodu nienawiści do imperatorowej, czy z powodu pięknych ocz Antoniny, lecz Joan dał się wziąć na wędkę i uwierzył.

Wyznaczono dzień decydującej rozmowy, a w dniu tym Justynian ukryty staraniem Teodory i Antoniny za kotarą wysłuchał wszystkiego i przekonał się, iż zausznik w każdej chwili gotów go zdradzić i przejść całkowicie na stronę wrogów cesarza.

Oczywiście Joana pochwycono natychmiast, uwięziono i skazano na wygnanie do Afryki, gdzie spędził długie lata.

Tak potrafiła się mścić cesarzowa!

Zmarła Teodora w czerwcu 548 r., zachorowawszy na zakaźną chorobę. Szukała ratunku u wód Bizancjum — daremnie. Zmarła po 21 latach panowania, gorąco opłakiwana przez męża i naród cały, który przez wdzięczność nadał jej miano Wielkiej.

Miała ona swe wady, lecz miała i zalety.

Może jako władczyni była zbyt dumną, mściwą i chciwą władzy, może zbyt ulegała złym doradcom, Antoninie w pierwszym rze-

dzie, którzy ją wyzyskiwali dla swych celów — lecz nigdy władzy nie użyła na zło kraju, starając się przeciwnie o jego dobro i potęgę. Najlepszym tego dowodem, że po jej śmierci Bizantyjskie imperjum, w rękach starzejącego się Justyniana szybko poczęło chylić się do upadku.

Nie miała szczęścia Teodora do historyków. O ile życie i przygody czy to Messaliny, czy Kleopatry, czy Lukrecji Borgia, czy Marji Stuart, czy Katarzyny II, były wielokrotnie przedstawiane w powieści lub na scenie, o tyle o Wielkiej Teodorze jest głucho. Czemu? nie wiem. Zdaje się, iż w języku polskim, bodaj ja jestem jej jedynym biografem.

A dzieje Wielkiej są wielce znamienne. O ile wiele władczyń było nierządnicami na tronie, o tyle jedynym jest wypadek, by z nierządnicy stać się cnotliwą władczynią.

Lecz dawniej inne były czasy i inni ludzie, może inne były kobiety i inaczej pisano historję.

M I Ł O S T K I K R Ó L A KAZIMIERZA WIELKIEGO

Miłość jest ślepa: kochankowie nigdy
Nie widzą szaleństw, jakie popełniają.

O pinja króla wielce łasego na wdzięki niewieście otacza Kazimierza Wielkiego od lat młodzieńczych i towarzyszy mu do grobowej deski, stawiając go narówni z innemi ukoronowanemi kobieciarzami naszymi: August II-gi i Stanisław Poniatowski. Rzecz inna, czy wielka wybujałość erotyczna jest znów tak wielkim grzechem? Wszak najwięksi mężowie historii również skandaliczną kroniką poszczycić się mogli i to o nazwiskach najprzedniejszych, że wymienię Cezara, Franciszka I, Henryka IV, Napoleona i cały szereg innych.

Genjalność powoduje promieniowanie temperamentu na wszystkie strony, w każdej dziedzinie mąż genjalny jest sobą, a więc jest nieprzeciętny. To samo dałoby się powiedzieć o niewiastach, bo najtęższe władczynie kobiety,

bynajmniej surową moralnością się nie odznaczały.

Więc jeden z największych władców naszych ma renomę rozpustnika? Owszem, tak. Nie podoba się to wielu historykom, między innymi Szujskiemu, zmuszonemu, gdyby wbrew sercu, dać świadectwo prawdzie. Pozostali dziejopisarze też niechętnie to przyznają, a tylko stary plotkarz, kronikarz Długosz z lubością opisuje przygody królewskie, cytuje kronikę galantną kochliwego pana.

Był już Kazimierz Wielki żonaty, jako następcę tronu z Anną Aldoną Gedyminówną, gdy wybuchnął pierwszy skandal. Stało się to, podczas pobytu na Węgrzech, w odwiedzinach u siostry swej Elżbiety i Karola Roberta, jej męża. Jak opowiada Długosz, rozgorzał wówczas dużym afektem do jednej z dam dworu, wielce przystojnej węgierki, panny Klary Zach, córki znakomitego rodu.

O tej miłości powiadomiona siostra, kochająca go więcej niż siostrzaną miłością „plus quam germano affectu“, postanowiła uczynić wszystko, by bratu dopomóc.

Udał więc Kazimierz chorego „*valetudinorium*“ i położył się do łóżka. Oczywiście Elżbieta nie omieszkała go odwiedzić, lecz przyszła nie sama a z nadobną Klarą. Wydała pilnują-

cych go, pod pozorem udzielenia mu rzeczy sekretnych i wreszcie samą pannę z bratem zostawiła...

Co dalej było kronikarz milczy. Wprawdzie leczenie miłosne uchodziło wtedy za jeden z najbardziej wypróbowanych medykamentów. Wszak cytuje Paprocki, że podobny środek zalecony był dla ранnego rekonwalescenta, Jędrzeja Lancorońskiego przez balbierzy i doktorów i rozgzeszony przez księdza; rozbił się jednak o niezwalczoną wierność małżeńską chorego, który wolał umrzeć niż ją złamać.

Może więc tylko piękna Klara zabawiła się „*prioprio motu*“ w lekarza a Kazimierz nie był na tyle, co pan Lancoroński nierozstropny, by odrzucać nasunięty tak miły medykament.

Jak tam było i co tam było — trudno dociec. Że jednak doktorzy nie zawsze są ze swych pacjentów zadowoleni, poskarżyła się panna ojcu, mówiąc stylem dziejopisa „swą hańbę zwierzyła, żądając pomsty, że zaś Kazimierz już ujechał do Polski“, ojciec, Felicjan na pozostałych członkach rodziny postanowił szukać odwetu. Czytamy:

„Dnia 17 kwietnia 1330 r., napadł na króla Karola, chcąc go zabić oraz żonę imieniem Elżbietę, która była córką króla Władysława, zwanego Łokietek, i z synami. Uciąwszy prawą rę-

kę królowej i samego króla ciężko zraniwszy w rękę, sam nędznie zabity na miejscu tem samem, zginął. Za tę zbrodnię syn jego i córka i cały ród prawie został wytępiony”.

Miłośćka Kazimierza tragiczne więc miała zakończenie — współwinna siostra postradała rękę, jej mąż ledwie uszedł z życiem. Co zaś się tyczy przyczyny katastrofy, samej pięknej Klary, to jako świadomej zamachu ojcowskiego obcięto nos, wargi i palce obu rąk i napół żywą wodzono po kraju, by słusność karni na sobie i ojcu wymierzonej głosiła.

Brr... niezbyt miła historia!

Lecz, na szczęście, następne miłostki królewskie mniej makabryczny nosić będą charakter.

Nadmieniłem na początku, że był Kazimierz żonaty z córką Gedymina. Małżeństwo to zawarte w 1325 r., trwało lat dziesięć do 1335 r., kiedy królowa na skutek nieszczęśliwego wypadku umarła. Jakże więc wybryk, który stał się głośnym po dworach całej Europy, przyjęła ona i jakim było ich pożycie.

Długosz pisze: „*Tantum* rozrywkom, tańcom i wesołości oddaną była tak, że dokądkolwiek wierzchem, lub wozem się udawała, zawsze przed nią szli śpiewacy z harfami, bębnami, gęśłami, nucili pieśni różne i różne melodje, ku

zgorzeniu wielu osób. Dlatego też dość znamienym i strasznym losem z tego świata zesła, jednak tajemnie wielce zakonników i biednych wspierała”.

Długosz dodaje do tej wiadomości szczegół, że była Anna Aldona niewiastą uczciwą, mężowi i królowi uległa „morigera”, otaczanie się zaś śpiewakami i muzyką, przypisuje nałogom z dzieciństwa u barbarzyńskich rodziców nabranym. Kazimierz przez szpary patrzył na te zabawy żony, aniżeli się na nie zgadzał.

Był to stosunek raczej poprawny dwojga małżonków, w którym za grosz nie pozostało uczucia. Anna Aldona zapewne przechodziła do porządku nad „awanturkami miłosnymi” męża, otaczanie zaś się artystyczną drużyną mogłoby w ostateczności uchodzić za osłodę konieczną w samotności małżeńskiej. Byłyby nawet niejaki dane sądzić, iż Kazimierz córkę Gedymina po swojemu kochał.

Po śmierci mianowicie Łokietka, chciał wraz z sobą koronować Gedyminównę. Na to matka Jadwiga oświadczyła, że to stać się nie może prawnie, z powodu, że ona, jako prawdziwa królowa koronowana żyje.

Dopiero później, ulegając prośbom syna, Jadwiga, która go bardzo czule „*terime*” kocha-

ła, usunęła się do Klarysek sądeckich i tam przywdziała habit.

Blizszych danych o pożyciu pary królewskiej brak. Domyślać się jednak można iż pod koniec nie był on stosunkiem dwojga gorąco rozmiłowanych kochanków.

Zmarła Anna Aldona dnia 28 czerwca 1335 roku. W tymże roku jeszcze, dnia 27 czerwca zmarł Henryk, książę bawarski, pozostawiwszy po sobie wdowę, księżną Małgorzatę, osobę, jak fama głosiła wielkiej urody.

Nie musiała być żalostí króla Kazimierza po Annie Aldonie wielka, bo znów w kronice czytamy:

„Król Krakowa, który wdowę (Małgorzatę) na niewidzianego, za życia męża pokochał, dla zobaczenia jej pojechał do Bawarji. Zastał Małgorzatę chorą. Wszedłszy do sypialni, ojciec jej król Jan czeski, wraz z Kazimierzem przybyły, upominał ją, by przybysza krakowskiego, miłującego go, uprzejmie powitała. Ta zacności kobieta, wielce się lękała krakowianina, jakoby poganina. Powitawszy go tedy, obróciła się twarzą do ściany i słówka więcej nie rzekłszy, wyzionęła ducha 1341 r. w lipcu“.

Pierwszorządne zakończenie idylli w związłym stylu kronikarskim: „powitawszy go tedy,

obróciła się twarzą do ściany i słówka więcej nie rzekłszy, wyzionęła ducha“.

Naruszewicz, wiernie tekst powyższy zacytowawszy, tak tłumaczy uczucia Małgorzaty:

„Nie lubiła Małgorzata Kazimierza, choć go nie widziała. Pogłoski o jego życiu nie nader przykładnem odrażały jej serce, a uprzedzenia też niemieckie o Polakach, jakoby narodzie grubym i nieobyczajnym dwojaką ku małżonkowi sprawiała niechęć“.

Możliwem jest tedy w zupełności, że księżna bawarska, ujrzawszy srogiego Polaka, a będąc chorą na serce, że strachu umarła, w obawie nowych ślubów, a nie chcąc się sprzeciwić woli ojca.

Śmierć ta na Kazimierzu zrobiła wielkie wrażenie. Jak wiemy, Małgorzata umarła w lipcu 1341 r., a na św. Małgorzatę tegoż roku, t. j. w dzień imienin ukochanej, Kazimierz Wielki podpisuje układ z jej ojcem królem Janem czeskim i bratem Karolem, margrabią Morawji (późniejszym cesarzem Karolem IV), w którym oświadcza, że przyjmuje ich za ojca i brata i przyrzeka we wszystkim ich uważać za ojca i brata rodzonego. I aczkolwiek, Małgorzata umarła, oświadcza, że nie chce rozrywać „ligi czyli węzła miłostí“ Karolowi, jako bratu rodzonemu, będzie ulegał w naradach, posiłkach,

przymierzach i związkach, a zwłaszcza w kwestji zawierania związków małżeńskich.

Niepodobna silniej w akcie dyplomatycznym wyrazić szalu dla zmarłej. Oddaje się król ze związanymi rękami i nogami do rozporządzenia jej krewnych, nawet co do wyboru przyszłej małżonki. Ktoby wątpił o impulsywności natury Kazimierza, czego już jeden mieliśmy dowód w przygodzie z Klarą Zach, otrzymuje obecnie też całkowite potwierdzenie.

Ze względu na skutki międzynarodowe podobnego „oddania się żalości erotycznej” można nazwać wielkiego króla naszego — Wertem czy Gustawem — XIV w.

*

Lecz wszelkie uczucia i porywy impulsywne przechodzą bardzo szybko.

W kronice znów czytamy:

„Niezadowolony ze zwykłych nałożnic Kazimierz Wielki, pewną Czeszkę szlachetną, imieniem Rokiczanę, okazałej i rzadkiej piękności, z Pragi, dokąd często jeździł i dłużej bawić przywykł, sprowadzoną, pod tę porę sobie zjednał i przez pożycie z nią głośniejszym się stał z występków swoich i obcych”.

Pod pomienionymi słowami historyk rozumie następujące.

Miał jakoby król zdobyć pomienioną Czeszkę obietnicą małżeństwa. Ponieważ jednak małżeństwa prawdziwego zawierać nie chciał, ubrał opata Tynieckiego w szaty pontyfikalne, że Rokiczana miała wrażenie, iż to biskup Krakowski ich związek błogosławi.

I ta miłostka była krótkotrwała. Jakkolwiek Kazimierz wyż rzezoną nałożnicę „concupinam” Rokiczanę, wdziękami jej ujęty, gorąco kochał... wkrótce, przy bliższem zbliżeniu przekonał się, że „na głowie miała łysinę i parchy „sciabiosa”. Wtedy się z nią rozszedł „repudiavit”.

Opowieść o Rokiczanie kwestjonowaną jest przez wielu historyków i zapewne należy do apokryficznych opowieści, które na skutek łatwości kronikarzy do ich ksiąg się dostały. Samo zakończenie należy odnieść do legendy ówczesnej, że dziewczyny nie mające prawa noszenia panińskiego wienca a tem niemniej go noszące, w ten sposób w momentach uroczystych np. w kościele były karane, że wieniec im spadał z głowy, a gdy go kładły, ściągaly z nim wszystkie włosy rozpuszczonych warkoczy, tak że „jakby ogolone brzytwą lysą głową, swój stan istotny ujawniały”.

Mimo opowieści Długosza incydent z Rokiczaną jest wątpliwy, lecz natomiast w tymże 1341 roku, na skutek nalegań dworu czeskiego,

który miał nawet prawo wtrącać się do jego spraw małżeńskich, poślubił Adelaidę, córkę landgraфа Henryka Heskiego.

Żył z nią 15 lat bez potomstwa i nie można powiedzieć, by to małżeństwo było szczęśliwym. Zawarte zdaje się wyłącznie ze względów polityczno-ekonomicznych z uczuciem nie miało nic wspólnego. Jeszcze w dziesięć lat po ślubie Kazimierz dopomina się gwałtownie o zaległy posag u landgraфа, a cesarz Karol IV zobowiązuje się mu w tem przedsięwzięciu dopomóc. Z tego widać, jak dalece finansowe pobudki grały rolę w dziejach małżeństwa Adelaidy — sporna zaś suma była wcale znaczna — chodziło o 2.000 kop groszy polskich!

Księżniczka heska odplącała się małżonkowi pięknem za nadobne i w ich swary małżeńskie musiał się aż wdawać papież.

Istnieje bulla Inocentego VI z marca 1353 roku, adresowana do Adelaidy, w której papież pisze, że „teraz z niezadowoleniem dowiedział się, iż od wspólności pożycia z Kazimierzem królem, małżonkiem swoim, długi czas była i jest odłączona, o co obecnie toczy się sprawa w Kurji rzymskiej. Spodziewa się jednak, że król ulegnie zachęcającym listom Kurji i pożycie zostanie przywrócone.

Dlatego też papież wzywa Adelaidę, by oka-

zała pokornie należną królowi uległość, posłuszeństwo i uszanowanie, by postarała się, jak do tego jest obowiązana małżeńskim zjednać go efektem, zabiegając przytem, by posag i inne obietnice z jej strony były królowi wypełnione, a to dlatego, by wszelka waśń pomiędzy jej krewnymi a królem do cna wykorzeniona została.

Lecz jeśli Kazimierz miał motywy uskarżać się na postępowanie żony, Adelaida miała ich napewno więcej. Niedarmo krążyły wersje o „małych domkach“ w Opocznie, Bochotnicy i Łobzowie, gdzie miał monarcha trzymać do swej dyspozycji najpiękniejszą białogłową, „kрасne i spasne“. Toć nawet rozwiąły tryb życia władcy zakończył się głośnym skandalem, gdy wedle kalendarza krakowskiego 13 grudnia 1349 roku utopiono Baryczkę, wikarego katedralnego, z rozkazu króla, za grożenie temuż „środkami apostołskimi“, w celu, aby „porzuciwszy nałożnice, żył w strzeźliwości małżeńskiej“.

Takie małżeństwo trwać nie mogło długo. Osadził, jak chcą niektórzy, nawet uwięził, Kazimierz żonę w Żarnowcu, gdzie samotnie przebywała ze swym dworem, sam zaś nietylko szukał rozrywek, lecz starał się o rozerwanie małżeństwa.

Krążyły nawet wersje, iż „wbrew królewskiej uczciwości odtrąciwszy Adelaidę dowolnie

„*pro libitu voluntatis*” — ożenił się pocichu z jakąś swą krewną.

Mowa tu o konkubinacie czy bigamji z Anną lignicką, księżniczką szląską.

Tolerowanie nadal podobnego stanu rzeczy było niemożliwym. Po próżnych usiłowaniach pogodzenia małżonków, papież, by uniknąć gorszącego przykładu dla chrześcijańskiego świata, zgodził się na rozwód i w 1355 roku Adelaida heska z Żarnowca przez ojca do swej ojczyzny zabraną została, zaś Kazimierz poślubił konkubinę.

Z powodu splątania dat przez różnych kronikarzy trudnem jest ustalić, jak długo trwało to ostatnie małżeństwo. Jakiem było pożycie z Anną Jadwigą lignicką, córką księcia Henryka, którą Kazimierz tak gorąco przedtem miał kochać, iż nie mając rozwodu, przedtem, jak chcą wieści, miał wziąć ślub za sfałszowaną dyspensą — niewiadomo. Wprawdzie z zarzutu sfałszowanej dyspensy monarcha później bullą papieża Urbana V został oczyszczony, lecz pożycie z ex-konkubina, zdaje się też nie należało do najlepszych.

Podanie „niektórych świadków”, cytowane przez Długosza, czyni głodową śmierć Maćka Borkowicza w Olsztynie karą, przez Kazimierza Wielkiego wymierzoną, jako męża obrażonego

na... niedoszłym kochanku żony Anny Jadwigi Głogowskiej.

Jeśli to „*assertio nonnulorum*” może i nie odpowiada prawdzie, to silne przypuszczenie złych stosunków małżeńskich, nasuwa fakt, iż na ten to okres czasu, t. j. 1357 r. przypada wielka miłość króla — słynna Esterka.

Gdyby Kazimierz, ożeniwszy się z Anną Głogowską z uczucia, nie był się do niej rozczarował, napewno nie przywiązałby się tak do pięknej żydówki i z nią nie afiszował, wywołując tem nawet w wielu wypadkach oburzenie.

Esterkę można doprawdy nazwać wielką miłością króla. Uczynił dla niej tyle, co dla żadnej, niejednokrotnie na szwank narażając królewską reputację i pozostał wiernym do końca. Może dlatego, że nie był już król młodziankiem, a mężem dojrzałym a w tym wieku ludzie przywiązują się trwalej i mocniej. Może dlatego, że zmarła Esterka dość młodo i nie miał czasu jej porzucić — lecz fakt jest faktem, iż ona jedna potrafiła przykuć do siebie zmiennego i kapryśnego monarchę.

O Esterce wiemy bardzo niewiele i słusznie oczekuje ona na monografię. To co wiemy jest tak poplątane, niezgodne i urywkowe, iż z trudem można skleić całość. Wiadomości zaś powieściopisarzy takich, jak Bronikowski i Kra-

szewski raczej są z fantazji czerpane, niżli oparte na realnych dowodach.

Jak chce legenda, pewnego dnia przybywa do króla młoda żydówka. Przybywa błagać go o ratunek i pomoc. Stała się krzywda jej, czy któremuś z współwyznawców. Jest niezwyklej urody, ma na imię Estera. Kazimierz Wielki uderzony niezwyklej urodą, podnosi ją miłościwie, gdyż padła przed nim na kolana, uspakaja i obiecuje przychylnie rozpatrzenie sprawy.

Scena ta miała odbyć się w Opocznie i miała być Esterka, córka tamtejszego szynkarza Mardocheusza Benjamina. Bronikowski znów w swej powieści „Kazimierz Wielki i Esterka” czyni ją wnuczką rabina Ben Jachoschnach Mordochajego z Miechowa i w Miechowie ją z królem poznaje. Większość jednak historyków zgadza się na Opoczno. Ks. Łukomski pisze „Kazimierz Wielki, Opoczno, jako rodzinnemu miejscu Esterki wiele czynił dobrodziejstw”. Mniejsza z tem, gdzie się ta scena odbyła, dość, że miała miejsce.

Królowi tak się spodobała piękna żydówka, iż nie tylko uwzględnił jej prośbę, lecz ją do siebie przybliżył i szybko zawiązał się między nimi stosunek. Król, rozmiłowawszy się w pięknej kochance, nie chciał ani na chwilę się z nią rozstawać, wszędzie ją woził ze sobą po kraju

i kazał wystawić dla niej pałac w Opocznie, w którym ulubienica jego mieszkała i tam ją często odwiedzał.

Ale niedługo żydzi opoczyńscy dowiedzieli się, iż Esterka jada trefne i nie odprawia szabasów. Chcieli więc ją natychmiast ukamienować i w tym celu przekupili burmistrza, żeby patrzył przez szpary. Króla wtedy naturalnie nie było w Opocznie. Esterka, ostrzeżona zawczasu, zakopała wszystkie swoje skarby i djamenty i nocą lochami, które aż do samego Krakowa prowadziły, uciekła z Opoczna do króla piechotą. Kazimierz bardzo się jej uzalił i wywiózł gdzieś za Wisłę, pod Lublin. Chciał powywieszać wszystkich żydów w Opocznie, ale Esterka ich wyprosiła i skrupiło się podobno na burmistrzu.

Powtarzam tą opowieść wślad za Bartoszewiczem. Inni historycy (Kraushar) odnoszą ten fakt nie do Opoczna a do Bochothnicy lubelskiej o pół mili od Krakowa i twierdzą, że istniało istotnie sekretne przejście z zamku krakowskiego do domu Esterki, którym Kazimierz odwiedzał ukochaną i że szczątki tej drogi zwiedzający do dziś dnia widzieć mogą.

Że jednak w Opocznie przez dłuższy czas przebywać musiała piękna żydówka, najlepszym tego dowodem, że miejscowi włościanie śpiewają, wskazując na ruiny opoczyńskiego dworu:

Po niefortunnej przygodzie miał król wybudować zamek między Kazimierzem a Puławami na mieszkanie dla Esterki, gdzie przez dłuższy czas bawiła.

Wkońcu przyzwyczajenie króla do pięknej hebrajki stało się tak wielkie, iż starał się jej nawet stworzyć sytuację towarzyską i Esterka bywała przy dworze.

Kraushar powiada:

„Na jednym z takich balów, ukazała się w salonie dama dworska, przyodziana w kostjum żydowski... chcąc tym sposobem przedstawić alegorję dość drastycznych, pokątnych stosunków króla z Esterką, znajdującą się także w sali balowej. Ale Esterka nie tylko nie czuła się obrażona tym postępkami damy, ale owszem, oddaliwszy się na chwilę, powróciła ubrana we właściwy podówczas żydowski kostjum, a wystąpiwszy na salę, pięknnością i gracją, zaćmiła wszystkie obecne damy dworu, ku wielkiej radości swego królewskiego kochanka”.

Esterka bezwzględnie wywarła duży wpływ na politykę królewską. Długosz pisze:

„Na prośby rzeczonyj Hester żydówki i nałożnicy, wydał nadzwyczajne prerogatywy i wol-

ności przez pisma królewskie pojedynczym żydom (singulis Indeis), w państwie polskiem mieszczającym, które wzgardę i obrazę majestatu boskiego zawierają, a których mdły zaduch (foetor olidus) nawet i dzisiaj trwa”.

Ustęp ten świadczy najlepiej, co czynił król dla swej kochanki i na jak wielką niechęć zato współczesnym się narażał.

Ostatnie lata życia, przed śmiercią, która ją zabrała w kwiecie wieku (podobno miała około 32 lat) spędziła Esterka w Łobzowie. Tam przynajmniej, wedle podania, miała umrzeć.

Źródła z początku XIX wieku mówią:

„W dziedzińcu dworu łobzowskiego, w miejscu dawnego ogrodu, znajduje się mogiła, dotąd wyraźna, w której, jak niesie podanie, Kazimierz Wielki kazał pochować zwłoki Esterki. Podczas bytności Stanisława Poniatowskiego w Krakowie w 1787 r. szukano z rozkazu tegoż króla pamiątek w mogile Esterki, lecz żadnych nie znaleziono”.

Bartoszewicz stawia hipotezę naruszenia grobu przez współczesnych na skutek braku szacunku, jakim w sferach ludowych żydowska kochanka Kazimierza Wielkiego się cieszyła.

Była Esterka, wedle świadectwa współczesnych, typową orientalną urodą. Wysoka, posą-

gowo zbudowana brunetka ,o delikatnej śniadej cerze i żywych błyszczących oczach. Miał ją cechować rozum i dowcip niezwykły a w ciężkich sytuacjach król częstokroć zasięgał jej rady.

Kazimierz Wielki spłodził z ulubioną swoją Esterką dwóch synów: Jana Niemirę (inaczej zwanego „Jan syn Króla”) i Pelkę, którym w testamencie zapisał wsie Kutow (Kutno), Juszyńiec i Drugnię. Niewdzięczni współcześni, jak pisarz Raczyński, nie umieli wielkiemu człowiekowi przebaczyć jego słabości, a król ledwie był do grobu zstąpił, gdy ostatnią jego wolę unieważniono i synów Pelkę i Niemirę, z nadanych przez ojca włości wyzuto.

Wedle innej wersji nawet obaj mieli zostać sprzątnięci po śmierci ojca, bez najmniejszego skrupułu, gdyż byli „nieprawemi pretendentami do tronu”.

Los synów Esterki wogóle nie jest wyjaśniony. Są i takie zdania, że nic złego po śmierci ojca im się nie stało a przeciwnie, dzięki skarbom zebranych przez matkę, objąwszy Zbąszyn, przybrali nazwisko Zbąskich, stosownie do zwyczaju i stali się magnackim rodem. Dlatego w rodzie Zbąskich znajdujemy często imiona Esterki i jej familijne — Abrahama. Jeden z założycieli tego rodu, Jan Niemira miał zostać zabity, podczas zwady, na pogrzebie Jagiełły...

W sploty historycznych dżungli nie będę się dalej wdawał. Niech to wystarczy!

Takiem było życie wielkiego króla naszego, tak rozważnego i mądrego w sprawach publicznych, a nieokielznanego i namiętnego w miłości.

FAŁSZYWA JOANNA D'ARC

Wiara w nadprzyrodzone i niezwykle jest tak przyrodzoną naturze człowieka... iż gdyby ją ludziom odebrano, byłiby z tego bardzo niezadowoleni i bardzo nieszczęśliwi. Stąd morał się wywodzi, że wszelkim szarlatanom zawsze dobrze się powodziło i powodzić będzie...

Joanna D'Arc, ta wysłanka niebios, ta półkobieta a napół nieziemskie zjawisko, została, jak zwyczajny śmiertelnik pochwyconą i spaloną na stosie? Nie! to niemożliwe! To bajka wymyślona przez wrogów Dziewicy!... Takie głosy i szepty szły wśród ludu po straceniu Joanny i nigdy może grunt dla samozwańczego wystąpienia nie był lepiej przygotowany, niżli w danym wypadku.

Zaledwie też mija lat sześć od tragicznej śmierci Dziewicy Orleańskiej w Rouen, gdy pojawia się nowa bohaterka, śmiało twierdząca, iż ona właśnie jest Joanną D'Arc, podstępnie zagarniętą do niewoli przez Anglików, lecz że dzie-

ki Wszechpotężnej Opatrzności — stale się nią opiekującej — udało jej się ująć stosu i turmy, zaś sam fakt cudownego uratowania zmuszoną była zatajać z różnych względów...

O niezwykle ciekawej osobistości oryginalnej awanturnicy mamy naogół wiadomości fragmentaryczne i dość skąpe. Oczekuje ona swego historyka. Niezbicie dotychczas zostało stwierdzonym, iż istotnie miała na imię Klotylda, urodziła się w jakiejś wsi francuskiej około 1411 r. — liczyła więc lat tyleż co prawdziwa Dziewica Orleańska, którą przypominała do złudzenia zewnętrznym wyglądem. Natomiast nieznanem pozostaje nazwisko, bliższe szczegóły o rodzicach, oraz szczegóły, co czyniła zanim zdecydowała się wystąpić w samowolnym charakterze na szerszą arenę działalności.

A grunt do udatnego wystąpienia został znakomicie, jak nadmienilem, przygotowany. Wprawdzie, najniewdzięczniejszy z królów, Karol VII, który palcem nawet nie kiwnął, by ratować Joannę D'Arc, zdążył już całkowicie o swej wybawicielce zapomnieć, wprawdzie dworacy i magnaci niechętnie wspominali pasterkę z Domremy, zazdrośni o przypisywaną jej jedynie zasługę uratowania Francji; wprawdzie duchowieństwo też wolało zasłonę milczenia rzucić na Dziewicę Orleańską, nie wiedząc na co się zde-

cydować: czy uznać ją za heretyczkę, czy świętą... lecz bohaterska legenda o kobiecie rycerzu trwała, trwała w pamięci wojaków i ludu, który zrazu pocichu, poczem coraz głośniej ją twierdzić, iż „Niezwyciężona zginąć nie mogła, że żyje, bo nie miała jej się żadna siła ludzka, ani ciosy wroga“.

Gadki, podawane z ust do ust, zataczały coraz szersze kręgi. Wiara ta zdołała specjalnie rozkrzewić się w Normandji i wkrótce cały kraj uparcie powtarzał, iż Anglicy pochwycili jakąś kobietę bardzo podobną do Joanny i że ją to, na jej miejsce, spalili.

Wiarę potwierdzał jeszcze ustęp z „Kroniki brytyjskiej“, brzmiący następująco: „Anglicy przywieźli do miasta Rouen jakąś dziewczynę, którą długo trzymano w zamknięciu. Badał ją szereg uczonych mężów z duchownych i świeckich, by wywnioskować, czy nie czarami lub innymi zakazanymi sposobami osiągała zwycięstwa. Dziewczyna, na zadawane pytania, dawała odpowiedzi tak dalece rozumne, iż długo wazono się, nim wydano wyrok. Atoli, nakoniec, postanowiono Joannę D'Arc spalić, *lub tę niewiastę co do niej podobną była*“.

Pewien kronikarz z Lotaryngji jeszcze bardziej tajemniczo pisze:

„Dziewica Orleańska, przywiódłszy wojsko



WŁADYSŁAW WESKI
M. ZK. J. ANKI. 1999R.

królewskie pod mury grodu Rouen, nagle znikła i niewiadomo, jakie dalsze jej dzieje. Twierdzą jedni, iż pochwycona przez Anglików na stosie spalona została, inni powiadają, że przez nieczemnych rycerzy, zazdrosnych jej rycerskiej sławy, została zabita“.

Ustępy, przytoczone przeze mnie, wystarczą, by zrozumieć dalszy ciąg opowiadania.

Gdy więc na początku 1436 r., w Lotaryngji, pojawia się sobowtór Joanny D'Arc, spotyka fałszywą Dziewicę wybuch entuzjazmu i radości. Ponieważ kraj częściowo był jeszcze zajęty przez Anglików, ludność wita rzekomą bohaterkę z zapalem, sądząc, iż przy jej pomocy nastąpi szybkie wypędzenie wroga, a mało się troszcząc o dokładne sprawdzenie tożsamości osoby awanturnicy. Fałszywa Joanna plecie jakąś mocno niejasną, mglistą i splątaną historję o swem cudownem ocaleniu. Ale, że głównym momentem cudownej opowieści, jest nie niemniej cudowne uniesienie jej, już przywiązanej do pala przez Anglików z pośród płomieni stosu przez pomoc aniołów, to całkowicie wystarcza! Któżby był na tyle niegrzecznym względem Dziewicy, by żądać dowodów, lub badać gdzie spędziła ostatnie sześć lat i czemu pozostała w ukryciu? Poco? A nużby się obraziła i znowu zniknęła! A Anglicy siedzą na karku! Dość, że jest! Teraz niech

myśli za innych i goni przewrotnych brytańskich wyspiarzy

Wieść o radosnym fakcie „powrotu Dziewicy“ niesie stugębna fama na wsze strony i teraz następuje najbardziej dziwaczny moment tej dziwacznej historii.

Zwabieni rozgłosem przybywają na miejsce bracia prawdziwej Joanny — świeżo nobilitowani kawalerowie Jan i Piotr D'Arc de Lyse. Los siostry doskonale jest im znany. Starszy Jan dowiedział się tragicznej wieści z ust samego króla Karola VII, u którego pozostawał na służbie, młodszy zaś Piotr — z ust Anglików, będąc wzięty, wraz z siostrą, do niewoli. Oczywiście bracia ani na chwilę uwierzyć nie mogą w tak radosną dla nich wieść — zanadto przeczy ona bolesnej rzeczywistości. Rzecz prosta jednak, że jada, by ujrzeć samozwańczę Joannę. Nic dziwnego w tem niema. Zapewne zdemaskują oszustkę?

Spotkanie ma miejsce dnia 20 marca 1436 r. we wsi Grange d'Orne, w pobliżu miasta Metz, Joanna bynajmniej się nie cofa przed spotkaniem, przeciwnie oświadcza, iż powita braci z jak największą radością, gdyż oddawna tęskni za nimi (Jak gdyby tak trudno jej było miast błądzić po Lotaryngji, od razu zgłosić się do ich domu).

Przybywa więc Joanna na dzień wyznaczony, w kobiecem ubraniu w towarzystwie paru szlachty z Metz. Kawalerowie D'Arc już oczekują na miejscu. Obie strony patrzą na się jakby z wahaniem, jakby badając wzajemnie. Nagle starszy Jan szeroko rozwiera ramiona.

— Najdroższa siostrze, — woła — Bogu Najwyższemu dzięki! Żyjesz!...

— Tak długo czekałam na was! — woła Joanna i z płaczem rzuca mu się na piersi.

Falszywa Joanna płacze, Jan i Piotr płaczą, świadkowie płaczą, nawet zda się konie za chwilę zapłaczą z rozczulenia i radości. Scena powitania rodzinnego po tak długim niewidzeniu jest istotnie rozczulająca, nic też dziwnego, że świadkowie o niej później opowiadają, iż „dawno tak serdecznej miłości rodzinnej nie widzieli.”

Ostatnie lody zwątpienia pękły i stopniały. Jak nie uznać Joanny, jeśli własna rodzina ją uznaje?

Lecz słusznie zapytałby się kto mógł, co właściwie powodowało wielce szlachetnymi kawalerami Janem i Piotrem de Lys, by samowolnie uznać za siostrę. Panowie ci, jak świadczą współcześni, naiwnością się nie odznaczyli i dobrze wiedzieli z kim naprawdę mają do czynienia.

Więc?

W cudzą psyche wżyć się jest dość trudno, lecz zdaje się, że tajemnica nagłego wybuchu uczuć rodzinnych polegała na tem, że Karol VII niezbyt hojnie obdarzył ich swemi łaskami, a to co zdążyli od niego wycisnąć dzięki siostrze, dawno stopniało i pochłoniętem zostało przez najprzeróżniejsze wydatki. Na późniejsze nabywania król udawał głuchego, niezbyt pomny zasług bohaterki i drogą normalną niewielka ze szczodroblewości monarchy mogła być korzyść. Lecz zgola inaczej przedstawiałaby się sprawa, o ileby żyła Dziewica... Tu król nie mógłby się wykręcić, nie narażając się na zarzut niewdzięczności oraz gromadne oburzenie poddanych..

Takim było rozumowanie braci! Bowiem pieniądz jest wszechwładny i za tę cenę można nawet przyznać się do siostry. Lecz jaką znakomitą znawczynią serc była śmiała awanturница, która zgóry przewidziała, że scena konfrontacji na jej korzyść jedynie wypaść może!

Ale czy w podobnych okolicznościach dumny ród Mniszków nie przyjął z otwartymi rękami Dymitra Samozwańca, a grupa magnatów w aktoyce, mianującej się księżną Tarakanową nie chciała widzieć, dla celów osobistej korzyści, córki rosyjskich carów?

Nazajutrz czuła trójka wyruszyła do sąsiedniego miasteczka Vocouleurs, gdzie została powitana z niemałymi honorami. Jeden z towarzyszy broni Dziewicy Orleańskiej, rycerz Nikol Loo stwierdził stanowczo, iż w przybyłej rozpoznaje Joannę. Wszak ma nawet taką samą plamkę za uchem!

W dowód czci ofiarował jej bojowego konia i miecz. Wtedy entuzjazm stał się powszechny. Zwożono bohaterce co kto miał — ten zbroję, ów hełm, inny kieszkę wcale zasobną. Darami ani ona, ani bracia nie gardzili, chcąc zaś wywdziękzyć się ofiarodawcom rzekoma panna D'Arc, ze zręcznością niebywałą, urodzonego jeźdźca, dosiadła rumaka i wygłosiła ad hoc mowę, w której oświadczała, iż zamierza doprowadzić do końca dzieło i przepędzić za morze Anglików. Czuje się jednak wyczerpaną i musi miesiąc wypocząć po trudach. Po jakich? — bliżej nie określała. Zresztą, głosy niebiańskie, wyznaczyły dzień rozpoczęcia przedsięwzięć. Ma to być dzień 24 czerwca, gdy przypada święto Jana Chrzciciela!

Ponieważ termin ten zgadzał się w zupełności, z przepowiednią prawdziwej Joanny z 1429 roku, gdy głosiła, iż w tym to czasie wypędzi wroga z kraju... mamy dowód, że samozwańcza niewiasta dobre wskazówki otrzymała od braci,

lub świetnie przestudjowała historję poprzedniczki.

Ponieważ jednak w Vocouleurs znaleźli się ludzie nieco mniej naiwni, niżli Nikol Loo i jego towarzysze i poczęli coś nie coś przebąkiwać — bohaterka uznała za stosowne wynieść się cichaczem do pobliskiego Marrille, gdzie zamieszkała w domu niejakiego Jana Quen'a.

Tam odwiedziła ją delegacja rycerzy z Metz'u pod przewodnictwem Joffroi D'Eks, którzy również osypali ją darami, ofiarując między innymi drugiego konia.

Sceny te uznania dość podejrzenie wyglądają ze względu, iż wielu rycerzy z Metz'u, dobrze wiedziało o prawdziwym losie dziewicy. Zapewne i oni mieli swe plany.

Fetowana i podejmowana przez okolicznych feudalnych panów, pędzi Joanna żywot bez troski. Nikt nie śmie wyrazić najłżejszego przypuszczenia możliwości oszustwa. Otrzymuje nawet zaproszenie na dwór do Arlon od starej księżnej Elżbiety Luksemburgskiej, dokąd udaje się skwapliwie.

Księżna wielce skłoną była do mistycyzmu, a że prawdziwa Joanna posiadała istotnie dar jasnowidzenia, zaprosiła więc bohaterkę do swego zamku, chcąc przeniknąć niewiadome tajniki losów.

Awanturnica przybywa w początku sierpnia 1436 r. do Arlon i stamtąd pisze list do króla Karola VII, prosząc o audjencję.

Z listem osobiście do monarchy, bawiącego w Lyonie, udaje się Jan de Lys, a sprawą potrafi pokierować tak gładko, że i król nie kwestjonuje oficjalnie zmartwychwstania Joanny.

Może czyni tak, by uniknąć komplikacji. Bierz jednak na bok świeżo kreowanego szlachcica i oświadcza, iż mimo najlepszych chęci więcej niż sto lirów wypłacić nie jest w stanie. Nawiasem mówiąc, Jan de Lys nigdy tych pieniędzy nie otrzymał, do tego stopnia kasa francuska była pustą.

Jak dalej potoczyłyby się losy odważnej samozwańczyńi niewiadomo, gdyby nie nieprzewidziana okoliczność. Możeby ją wkońcu przyłapano na kłamstwie i ukarano surowo? Może Karol VII sam kazałby ją wrzucić do lochu?

Lecz śnać dobra gwiazda czuwała jeszcze nad nią?

Na dworze księżnej Luksemburskiej poznaje, przybyłego w odwiedziny, młodego, gdyż liczącego dwadzieścia pięć lat, hrabiego Ulryka V Wirtemberskiego, który odrazu zakochuje się w niej na zabój. Ofiaruje pseudo Dziewicy zbroję złocistą i z przedmiotem swego uwielbienia

nie rozstaje się na chwilę, jak złośliwi głoszą, nawet w nocy.

Uwozi najdroższą do Kölnu, gdzie rezydował na prawach udzielnego księcia wraz z bratem Ludwikiem I, pod opieką matki Henryetty.

Falszywa Joanna zamieszkała wraz z nim, ubierała się po męsku, przyjmowała udział w hulankach i tańcach, nie przestając się jednak tytułować „Dziewicą Orleańską” i twierdzić, iż znajduje się pod opieką niebios.

Ulryk V święcie wierzył w tę niebiańską miśję i postanowił ją nawet wykorzystać dla szczęścia kraju i obywateli.

— Czy możesz stale przewidzieć przyszłość — zagadnął.

— Dziwne pytanie? — oburzyła się Joanna — na tem polega moja moc!

— Więc!... — tu wyluszczył zawikłaną historję o dwóch kanonikach miasta Kölnu, ubiegających się o godność biskupią. Chodziło o to, by przy pomocy sił nieziemskich określić, który godniejszy objąć episkopat i który dostojęństwo zdobędzie.

Prawdziwa Joanna D'Arc, gdy ją swego czasu proszono, by przepowiedziała kto z trzech kandydatów (Marcin V, Grzegorz XII i Benedykt XIII) przez konklawe obranym zostanie —

papieżem — po dłuższym namyśle i żarliwej modlitwie, dała istotnie trafną odpowiedź.

Nasza bohaterka, okazała się mniej skromną. Z całym tupetem wymieniła odrazu nazwisko domniemanego wybrańca i oświadczyła nawet, iż przyjmie osobiście udział w wyborach, by sprawę skierować na należyte tory.

Ulryk V, a wraz z nim doradcy przyklasnęli pięknemu zamierzeniu, lecz działalność ta obywatelska zwróciła uwagę pewnej osobistości, która z zadowoleniem zatarła ręce.

— Hm... teraz cię mamy!

Tą wysoce uradowaną osobistością był generał inkwizytor Kölnu, Henryk Kaltazen, który ku wielkiej uciechu wiernych, wyprawił na tamten świat niemłą już liczbę czarownic, sług szatana i heretyków. Na Joannę dawno miał już chrapkę, znajdowała się jednak pod opieką suwerennego księcia, a dowodów bezpośrednich nie było. Wprawdzie chodziła w stroju męskim, co już samo przez się poczytywać należało za grzech niemąły, dalej twierdziła, iż jest dziewicą, a nie zachowywała się zupełnie dziewiczo... ale... ale... wszak to jeszcze ani prawdziwe czarownictwo, ani herezja.

Kiedy się jednak miesza do spraw duchownych — to zgóła co innego! Zresztą uczony mąż zebrał i inne dowody.

Joanna zajmuje się magją. Była w pewnym domu, gdzie rozerwała obrus na pół, następnie dmuchnęła i złączył się on w całość. Kiedyś pono nawet, w przystępie złego humoru cisnęła najmiłościwшему księciu, Ulrykowi kielichem w głowę i kielich się nie zbił. Toć jeśli to nie są czary, gdzież czarownic szukać na świecie?

I byłyby zapewne Joanna całkowicie się upodobniła do prawdziwej Dziewicy i pod czułym okiem Kaltajzena, wedle wszelkich reguł „postępowania przeciwczartowskiego“ spłonęła na stosie, gdyby nie w porę powiadomiony kochanek Ulryk V, świadom niebezpieczeństwa, zdążył ją tak ukryć, że nawet inkwizytorzy nie mogli przewąchać miejsca pobytu poszukiwanej „Dziewicy“, następnie potajemnie wywiózł z Kölnu.

*

Wydostawszy się z niebezpiecznych szpon inkwizycji, Joanna powróciła na gościnny dwór księżny Luksemburskiej, snąc w oczekiwaniu nowej przygody. Nadzieja ją nie zwiodła, mimo, iż postąpiła, jak ślubująca dziewictwo w żadnym razie nie powinna postąpić. Najspokojniej wyszła za mąż za Roberta d'Armoise, pana na Tichemond'zie, znanego i bogatego rodu.

Istnieje szereg dokumentów, dotyczących się tego małżeństwa. Aczkolwiek ślubny akt, odnaleziony w XVII w. jest kwestjonowany, jako falsyfikat... mamy inne papiery bezspornej autentyczności, na których odważna awanturka podpisuje się:

„Joanna De Lys, Dziewica Francji, pani na Tichemond, ślubna żona Roberta d'Armoise“.

Zdawałoby się, iż samozwańcza dama, zakończywszy szczęśliwie swą burzliwą, mimo że krótką, karierę, winna była zapomnieć i o swem „dziewictwie“ i o swych przygodach. Ona, pochodząca, zapewne z bardzo niskiego, chłopskiego stanu, była teraz feodalną panią, opływającą w dostatki, której każdy kaprys dla bałwochwalczo zakochanego małżonka stawał się rozkazem.

Lecz zamiłowanie do przygód i wrażeń równie silny pociąg snać w sobie mieści, co gra, pijaństwo, lub rozpusta.

Zaledwie trzy lata od ślubu upłynęły, już widzimy Joannę na nowych wędrówkach. W 1439 r. postanawia, oczywiście, jako Dziewica Orleańska odwiedzić... ni mniej, ni więcej... tylko Orlean i pojawia się tam w zbroi srebrzystej na białym rumaku.

Jedzie przez ulice wolno i z pompą, witana radosnymi okrzykami tłumu. Jak mogło być ina-

czej? Wszak była wybawicielką miasta, a jej pojawienie oznajmiało nowe zwycięstwo.

W Orleanie zamieszkiwała matka prawdziwej Joanny. Gdy awanturka przystaje przed jej domem a ta wybiega i całuje ją serdecznie, mimo, że wie, iż trzyma w ramionach oszustkę—entuzjazm dochodzi do zenitu. Orleańczycy, którzy w każdą rocznicę tragicznego zgonu swej wybawicielki 8 razy urządzili uroczystą procesję, podczas której obnoszono cztery świece z jej herbem, zaś pod baldachimem jej miecz i koronę Francji, przechowywane w katedrze — teraz z radości zapomnieli o procesji i ofiarowali w darze pani d'Armoise chleb i masło oraz 210 liwrow „za wszystko dobre, co zrobiła dla nich“. Tak zapisanym jest ten rozchód w księgach miejskich.

Awanturka wśród nieustających uczt przepędziła dwa tygodnie w gronie „swoich dobrych orleańczyków“.

Dnia pewnego jednak tajemniczo zniknęła a wyjazd był tak pośpieszny, że nie przybyła nawet na ludową zabawę, gdzie miano jej złożyć szereg darów, nie licząc ośmiu butelek wina przedniego.

Sekret niespodziewanego wyjazdu był ten, że Karol VII, pragnąc udać się do Orleanu i nie wiedząc, co o „Dziewicy“ myśleć i jak się za-

chować w razie spotkania z nią — wydelegował naprzód swego nadwornego krawca imię Jana Lulie, który prawdziwej Joannie robił szaty... by ten, jako znający ją doskonale... rzucił nieco światła na tajemniczą sprawę.

Śnać uprzedzona o konfrontacji, fałszywa Joanna, wolała nie doczekać się ani swego krawca, ani czułego spotkania z umiłowanym monarchą i gród opuściła tajemniczo cichaczem, jak na nieziemską istotę przystało.

Odtąd pani d'Ambroise, niby błędny rycerz, błąka się po świecie. Pojawia się to tu, to tam, wszędzie przyjmowana z honorami.

Widzimy ją nawet na dworze jednego z najbogatszych magnatów Francji, osławionego marszałka Gilles de Rais'a, pana na Machcoul i Tifoges. Gilles de Rais, dzielny rycerz, był swego czasu najgorętszym przyjacielem i zwolennikiem Dziewicy Orleańskiej i gdy wziętą została do niewoli przez Anglików, czynił nawet daremne próby zdobycia na własną rękę miasta Rouen, gdzie była więziona i oswobodzenia jej. W owym jednak czasie, przestawszy niemal cały majątek na przepych królewski i wyprawy wojenne, obdłużony, czynił rozpaczliwe próby odzyskania nadwątlonej fortuny zapomocą alchemicznego poszukiwania złota i paktów czartowskich. Tajemnicy kamienia filozoficznego,

więc robienia złota, poszukiwał w trzewiach mordowanych młodych chłopców, których zwał podstępnie do zamku. W ten sposób miał uśmiercić około 600 młodzieniaszków, za co ostatecznie, został ścięty przez kata.

Czy krwawy magnat, wtedy na pół obłąkany, istotnie wziął awanturnicę za prawdziwą Joannę, czy przy pomocy jej imienia, chciał ratować zepsutą reputację, gdyż już wówczas krążyły o nim niesamowite wieści—niewiadomo—dość, że i on przyjął ją triumfalnie i powierzył komendę nad swem wojskiem, liczącem parę tysięcy żołnierza.

Na usprawiedliwienie i honor pseudo Dziewicy, trzeba jednak dodać, że szybko zorjentowawszy się w sytuacji, podziękowała za dostojność i cześć i jeszcze szybciej z dworu satanistycznego sadysty się wyniosła.

Wydostawszy się nader szczęśliwie z bardzo niebezpiecznej opresji, pseudo Joanna podjęła znów podróż niezbyt fortuną. Na wiosnę 1440 roku, wyruszyła do Paryża, co było wielką nieostrożnością. Wszak paryski Uniwersytet przed dziewięciu laty, potwierdził wyrok procesu w Rouen a nawet pochwalił ukaranie prawdziwej Dziewicy, jako kacerki.

Może sądziła awanturnica, iż uczeni mężowie, zatopieni w teologicznych dysertacjach,

zdążyli już byli zapomnieć o swych decyzjach, ze względu zaś na entuzjazm ludu, wszędzie ją spotykającego owacyjnie, nie zechcą wszczynać starych sporów i narażać się na niepopularność. Toć właśnie ten entuzjazm, to była najpotężniejsza broń w ręku samozwańczej bohaterki... i temu przypisać należy, iż nikt z możliwych tego świata dotychczas jawnie przeciw niej wystąpić się nie ośmielał...

Po drodze do Paryża znów witały ją odświętnie przybrane tłumy mieszczan i chłopstwa... ale tym razem noga powinęła się awanturnicy. Uniwersytet i parlament zirytowały się nie na żarty i postanowiły nie dopuścić do wkroczenia do grodu. Jakto?! Oficjalnie przez nich została uznana za winną i spaloną na stosie — a ona pozwala sobie jeszcze tu przyjechać konno? Szczyt bezczelności! Trzeba z tem raz skończyć!

Wysłano przeciw pseudo Joannie silny oddział łuczników i miast triumfalnego przyjęcia osadzono, nawet bez należytych honorów, w turmie.

Joannę d'Armoise oskarżono o oszustwo i chęć wprowadzenia w błąd ludu i wedle humanitarnego zwyczaju ówczesnej procedury sądowej zaproponowano: albo przyzna się do

wszystkiego i ma kajać się publicznie, albo zostanie wzięta na turtury.

Podsądna chętnie się przyznała, iż mimo ślubu czystości wyszła zamąż i miała dwoje dzieci. Dalej, iż w młodości pobiła swą matkę, za które to przestępstwo osobiście udzielił rozgrzeszenia papież Eugenjusz IV, i w tym celu jeździła do Rzymu, a nawet przyjmowała po stronie papieża udział w jakiejś bitwie, lecz więcej nie chciała mówić ni słowa.

— Lecz kim pani jest? — pytano.

— Jestem Dziewicą Francji, która zbawiła ojczyznę! — brzmiała odpowiedź.

— Ależ ją spalono na stosie! Są tego świadkowie!

— A jednak żyję!

— I z panią tak trzeba będzie postąpić!

— Spróbujcie! Mój lud wam na to odpowie!

Istotnie poczciwy ludek paryski na wieść o „nowej krzywdzie Dziewicy“, tak jął się burzyć i awanturować, że zacni sędziowie, mimo całej ochoty załatwienia się z samozwanką inaczej — musieli jej zwrócić wolność, a nawet uprzejmie prosić, by wyjechała z Paryża i nadal zachowywała spokojnie.

Jest to bodaj jedyny w dziejach fakt historii, aby oszustowi, udało się, mimo głębokie-

zgoła nie doskonała, a nawet bardzo przewrotna, główna przyczyna przedwczesnej śmierci mistrza. Dowód jeden więcej ścisłej łączności, mogącej zachodzić pomiędzy pięknem zewnętrznym a brzydota moralną...

Działo się to w epoce zwanej Odrodzeniem, na samym początku XVI w., w Rzymie, gdy na Stolicy Apostolskiej zasiadał papież Leon X, z rodu Medyceuszów, jeden z najświetniejszych mecenasów sztuki, protektor uczonych, artystów i poetów, jakby wskrzesiciel złotej ery Peryklesa i Augusta.

Zbytecznym dodawać, iż największą chluba jego panowania był genialny Rafael; szeregiem arcydzieł przyozdobił Watykan i przedsięwziął przebudowę Bazyliki św. Piotra, niezakończoną z powodu zbyt rychłego zgonu. Papież dosłownie obsypywał malarza dostojnościami i złotem; rzecz można, rzecz niesłychana, Rafael był istotnie artystą magnatem, mógł rozrzucić pieniądze, nie odmawiać żadnym zachciankom. Był zaręczony z siostrzenicą kardynała Bibiena, wszyscy nadskakiwali mu, ubiegano się o jego względy.

W tym czasie znajdował się w Rzymie, bogaty bankier Agostino Chigi drugi mecenas, usiłujący współzawodniczyć z papieżem w dziedzinie sztuki. Wybudował w Franstevero, jed-

nej z najpiękniejszych dzielnic Wiecznego miasta, na prawym brzegu Tybru, swą słynną willę zwaną „Willa Farnesino“ i zapragnął uczynić z niej cud świata.

Ponieważ papież miał Rafaela i on musiał go mieć! Gdy więc w 1514 r. artysta mianowany został głównym architektem Bazyliki św. Piotra. — Chigi popędził do mistrza i zaproponował przyozdobienie głównej galerji w „Farnesino“, oczywiście za królewskie honorarjum. Rafael się zgodził, a bankier by tem mocniej go mieć pod ręką, zaproponował mieszkanie w swym pałacu, znajdującym się wśród wspaniałych ogrodów. Malarz zajął z przepychem urządzone apartamenty, bankier zaś nie posiadał się z radości, iż tak znakomity gość przyozdobi mu siedzibę.

Stosując się do woli Agostina, począł Rafael malować tematy, zaczerpnięte z mitologii. Już ściany galerji przyozdobiły słynne freski „Trzy gracje“ i „Galatea“, gdy przerwał robotę nad trzecim mającym przedstawiać „Amora i Psyche“ — z powodu braku modelu.

Gdy się niema modelu — należy go wyszukać, w Rzymie ładnych kobiet nie brak, a po goń za piękną niewiastą należy do wcale przyjemnych zajęć. Dobrawszy też sobie do pomocy jednego z zaufanych uczniów, Francesca

Penni, który nic nie miał przeciw podobnemu zajęciu — począł Rafael przebiegać ulicę miasta. Dnia pewnego, gdy znaleźli się nad brzegiem Tybru, ujrzeni dziewczynę, około 18 lat, niezwyklej urody. Stała pod drzewem, jakby dumając nad czemś, w potokach słońca.

Mistrz, gdy ujrzał niewieście zjawisko, aż krzyknął z podziwu. Oczywiście rozpoczął z nią odrazu rozmowę i dowiedział się z pięknych ust pięknej nieznanym, iż nad tem tak duma, jakby się dostać do parku willi „Farnesino”. Ma tam być cudownie, ale nikogo nie wpuszczają.

— Ze mną wpuszczą wszędzie! — zawołał rozgorączkowany mistrz i pochwywszy zdobycz za rękę pociągnął do ogrodu.

— Nakoniec znalazłem Psyche — szepnął po drodze do Francesca Penni, który uważając swą obecność za zbyt czną, dyskretnie znikł.

Rafael po oprowadzeniu żadnej wrażeń uroczej dziewczyny po wszystkich alejach ogrodu, zaproponował wizytę w pracowni. Skromnista nie ceremonjowała się zbyt i zgodziła wejść w kawalerskie progi. Oświadczyła, iż zwie się Margaritą Luti, jest córką piekarza. Z zajęciem oglądała obrazy mistrza i po swojemu chwaliła naiwnie.

— A cobyś tak powiedziała, gdybym cię chciał namalować? — zagadnął ją.

— Hm... ja bym może chciała... ale ojciec i narzeczony czy się zgodzą?

Więc miała narzeczonego! To nieco ochładzająco podziałało na rozognionego artystę.

Wszakże na pociechę oświadczyła Margarita, iż ma narzeczonego, bowiem osiemnastoletniej pannie nie wypada obywać się bez podobnego sprzętu i że narzeczony nie jest zbyt ważną osobistością — pełni funkcję pastucha w Albano, stanowiącej własność Agostina Chigi!

— Ty! żoną pastucha?! Toć godna jesteś być królową! — zawołał oburzony Rafael.

Z poglądem tym całkowicie zgadzała się rozkoszna Margarita, cóż jednak począć skoro królewicza pod ręką nie było, a znalazł się dyrektor od popędzania owiec...

Przez wdzięczność za odwiedzin, chciał ofiarować malarz pięknej piekarce ciężki złoty łańcuch. Wprawdzie łańcuch przeznaczony był dla rozmiłowanej w nim kurtyzany Andrei, lecz gdzież tu w podobnych chwilach pamiętać o innych kobietach i prezentach dla nich!

Lecz Margarita uniosła się ambicją i prezentu nie przyjęła, oświadczając, iż jest zbyt kosztowny.

— Nie chcesz przyjąć bo zbyt drogi? — zawołał Rafael — zgodzi! Zrobimy inaczej! Sprzedam ci gol

— Ależ ja nie mam pieniędzy — odparła czerwieniąc się dziewczyna.

— Nie o pieniądze chodzi! Sprzedam go za dziesięć pocałunków! Chcesz?

Margarita spojrzała na poważnego sprzedawcę. Rafael miał wówczas trzydzieści jeden lat i był bardzo przystojnym mężczyzną. Snać oględziny musiały wypaść pomyślnie, bo uśmiechnęła się lekko i pochyliła głowę.

Za ile ostatecznie dobito targu — kronika milczy. Mam wrażenie, iż pocałunków było znacznie więcej, niżli dziesięć a nawet kilkadziesiąt...

Wkońcu wyrwała się Margarita z objęć nienasyconego sprzedawcy, zapłomieniona i uciekła wołając, iż jeśli Rafael chce ją widzieć — niechaj pomówi z ojcem!

Malarz pogonił za nią i niemal jednocześnie wpadli do rodzicielskiego domu, czyli piekarni.

Signor Luti zdziwił się nieco obcesowym odwiedzinom, lecz wysłuchawszy propozycji Rafaela, zgodził się jak najchętniej, za 50 złotych monet, by córka pozowała artyście do tyłu portretów i obrazów, ile dusza zapagnie. Prócz tego dobrotliwy papa brał na się trud zreferowania całej sprawy narzeczonemu i w razie potrzeby wiania mu rozumu do głowy.

Rafael nie posiadał się z radości. Namietnie

zakochany w pięknej Fornarinie-piekarce, jak ją przezwiał z powodu zawodu ojca (forno-piec, fornai — piekarz) nie spał całą noc liczył minuty i godziny, dzielące od jutrzejszego spotkania...

Co robiła Fornarina? Czy i ona myślała o Rafaelu? Owszem! Lecz w następujących okolicznościach.

W maleńkiej komórcy, tuż nad piekarnią, stanowiącej apartament panny Margarity — inna zgoła miała miejsce scena. Gdyby ją mógł ujrzeć lub podsłuchać zakochany Rafael — na pewno przestałby się niespokojnie przewracać w swem kosztownem łożu i rozczarowałby się całkowicie do lubej.

W małym pokoiku Margarity wraz z nią siedzi wzmiankowany narzeczony, pan Tomasso Chinelli. Ta wizyta nie jest pierwszą, gdyż od czterech miesięcy odwiedza w ten sposób piękną piekarkę potajemnie: są však młodzi, ślub ciągle zostaje odkładany a do małżeństwa i bez ślubu im pilno.

Więc Margarita skłamała Rafaelowi twierdząc, że nie wychodzi zamaż z miłości? I tak i nie. Zaczekajmy chwilę.

Zatrzymała ona rozmyślnie na szyi kosztow-

ny klejnot, ofiarowany przez malarza. Chinelli, oczywiście, dopytuje się od kogo pochodzi podobnie cenna ozdoba. Margarita najspokojniej wymienia nazwisko Rafaela i oświadcza narzeczonemu, iż go bardzo prosi, aby nie wtrącał się w jej osobiste sprawy.

— A czyż nie wiesz o tem — woła ten oburzony — że Rafael uwodzi wszystkie kobiety! Że utrzymuje szereg kurtyzan, które obsypuje złotem, czy i ty pragniesz zostać kurtyzaną?

— Choćby i tak...

— Ty... — tu Tomasso pochwycił ją silnie za rękę.

— Puść rękę, nie szarp... Wolę być kurtyzaną, niż się zadawać z takim pastuchem!

Tomasso postąpił, jak prawdziwy mężczyzna. Padł na kolana, zaczął błagać o litość.

Margarita dąsała się długo, wkońcu wycedziła, iż przebaczy, jeśli on nie będzie się naprzykrzał i przychodził tylko wtedy, gdy go ona wezwie.

— Ale chcesz być mą żoną?

— Może...

— Przysięgnij, że nią będziesz, przysięgnij w kościele św. Marji del Popolo!

Na to również piękna piekarka się zgadza. Skoro świt, pójdą do kościoła. Lecz do świtu pozostały cztery godziny. Tomasso robi się co-

raz natarczywszy, Margerita coraz słabszy stawa opór. Wkońcu na pieszczoty kochanka poczyna odpowiadać tak namiętnie, iż zda się w jej żyłach ciecze nie krew a lawa...

Te to erotyczne wybryki, które stanowiły fraszkę dla atletycznie zbudowanego pastucha zabójczemi się stały dla delikatnego i wątłego Rafaela. Nie był w stanie zaspokoić nienasyconej w uniesieniach Erosa Fornariny, podkopywał nadużyciami zdrowie.

Po nocy podobnie przykładnie spędzonej kochankowie udali się do świątyni, gdzie Margarita najspokojniej złożyła przysięgę, żadaną przez narzeczonego. Bezczelna, w jakiś czas później przed tym samym ołtarzem, nie zawahała się Rafaelowi przyobiecać, iż prócz niego, do innego nigdy należeć nie będzie mężczyzny!

Teraz poznaliśmy dostatecznie chyba charakter wielce szanownej panny Luti. Nie miała serca za grosz, rządziły nią zmysły jedynie i próżność. Gdy w przeddzień ślubu niemal, poczuła, iż uśmiecha się świetna przyszłość, o której może zdawna marzyła, najspokojniej postanowiła wprost z ramion kochanka przejść w objęcia innego! Istnieje jednak szereg pisarzy, nie znających dobrze historii żywota Fornariny-piekarki i śmieje twierdzących, iż mo-

del najświetniejszych obrazów mistrza — musiał być odpowiednio sielski i anielski!

Tymczasem Rafael, ten pieścioszek i ulubieniec najwytworniejszych dam, nazajutrz o dziesiątej zrana, oczekiwał, jak umówionem było na najdroższą, przy furtce, wiodącej do ogrodu nad Tybrem. Stawiła się o oznaczonej godzinie, zaczerwieniona i nieśmiała — wyborna komedjantka! Jej słodki wyraz twarzy, niedarmo, mógł wprowadzić w błąd i nie takiego znawcę kobiet, jak Rafael!

Podczas pierwszego seansu pozowała Fornarina do słynnej „Psyche” i po dziś dzień zdobiącej ściany „Farnesino”. Lecz podczas pracy mężczyzna ustąpił miejsca artyście — taką jest wszak potęga prawdziwej sztuki! Rafael przez godzin cztery malował zawzięcie, nie obchodził go cały świat, nie wzruszała go nawet uroczą kobieta!

— O jakżeś piękna moja Psyche! — powtarzał tylko od czasu do czasu, jak współnie, jakby pogrążony w ekstazę.

Fornarina nie mogła się nadziwić. Gdy obnażał posągowe kształty, gdy dotykał jej wspinałego, nie osłoniętego szatą ciała, czynił to

beznamiętnie, bez najłżejszej erotycznej przy mieszki. Margarita starała się przybierać lubieżne, kuszące pozy — daremnie!

Zepsuta dziewczyna rozumiała coraz mniej. Czyżby się omyliła? Czyż pragnął ją posiadać, wyłącznie jako model? W takim razie, tęgi to warjat, by za podobne głupstwo płacić ojcu aż 50 złotych monet!

Wkońcu znudzona obojętnością malarza, poczęła udawać zmęczoną. Tyle czasu ją trzyma — musi wracać do domu, jest głodną. Rafael spojrział na nią, oprzytomniał i uśmiechnął się. Wszak przy tworzeniu zapomina się o wszystkim, nietylko o błahostce, zwanej obiadem. Zadzwoił na służbę. Przyniesiono potrawy.

Domyślać się możemy, iż przy obiedzie nie rozmawiano o sztuce wyłącznie. Margarita do końca, grała rolę niewinnej, uwodzonej ofiary, Rafael z trudem zdobywać musiał każdą z łask, z tych łask, które zgóry gotowa była mu oddać. Lecz był zachwycony — w jego sytuacji byłby zachwycony każdy mężczyzna — jako zawczasu przedysponowany głupiec.

Psyche, tym razem Psyche została zapomniana. Wieczór zastał w objęciach kochanków, może zastałaby ich i noc, gdyby nie goniec przybyły w Watykanu po Rafaela. Musieli się roz-

stać, a Fornarina przyobiegała przybyć naza-
jutrz.

Lecz wielki artysta nie odznaczał się cier-
pliwością. Po wyjściu z Watykanu, spotkał
Francesca Penni i obaj, uczeń i mistrz, oddali-
wszy lektykę, udali się... łatwo domyśleć do-
kąd... w kierunku piekarni zacnego imię pana
Luti.

Jeśli Rafaela nie cechowała cierpliwość, to
Margaritę nie cechował brak sprytu. Domy-
ślała się, iż dziś jeszcze odwiedzi ją rozmiło-
wany malarz i romantycznie rozmarzona sie-
działa w oknie w pociągającym negliżu. Gdy
ujrzała Rafaela wraz z Francesco Penni, sto-
jących naprzeciw i snąc medytujących, jak do-
stać się do niej pokryjomu, nie natykając na
rodzica — znakiem wskazała drogę do swej
mansardy, dobrze utorowaną przez szlachet-
nego pastucha Tomassa Chinelli. Obaj młodzi
panowie przeleźli przez dziurę i znaleźli się
w sadzie, gdzie oczekiwała Fornarina. Dalszy
ciąg wiadomy. Mistrz pod jakimś pretekstem
znalazł się w komórce piekarki, która mu się
wydała istnym rajem — uczeń jak niepyszny,
musiał oczekiwać godzin cztery w ogrodzie, po-
cieszając się tem tylko, że w Italji noce są cie-
płe a kwiaty wonieją rozkosznie.

Czekanie to jednak nie wpłynęło na dobry

humor signora Penni, bo gdy ujrzał najdroższe-
go mistrza, zapytał dyskretnie, czy podobne
eskapady szkodliwie się nie odbijają na zdrowiu.

— Ach! co ty pleciesz — zawołał wielki
malarz. — Artysta staje się podwójnym arty-
stą, gdy kocha! Miłość podwaja genjusz! Do-
piero teraz zobaczysz, jakie stworzę obrazy!
Samo niebo zesłało mi Margaritę!

Francesco zamilkł.

Nazajutrz rozegrał się ostatni akt tej ko-
medji czy tragedji. Dobrotliwy ojciec, a dawny
kupiec, czcigodny Luti zgodził się za wcale nie
wygórowaną cenę, choć stanowiącą mająte-
czek — mianowicie 3000 monet złotych —
ustąpić na własność swą pociechę, córkę Mar-
garitę, Rafaelowi na czas nieokreślony, nawet
nie zapytując co ten z nią uczyni i dokąd wy-
wiezie. Pakt został zawarty. Wprawdzie mógł
przeciw niemu co nieco oponować pewien
dżentelm, strzegący świń i owiec w Albano,
lecz ten był daleko, zaś złoto na stole.

Rafael wynajął na jednym z przedmieść
Rzymu willę dla kochanki, ubrał hultajkę od
stóp do głów i obsypał klejnotami. Miała konie
i powozy. Słowem, w ciągu paru dni piekarka
przedzierzgnęła się w metresę.



WŁADYSŁAW WESKI
ZKAZA

Przez rok kochankowie nie rozstawali się ani na godzinę. Rafael nigdzie nie bywał, niko- go nie chciał widywać, zaniedbał nawet sztukę i uczniów. Papież poczynął się niecierpliwic a Agostino Chigi, zrozpaczony, iż tak pięknie poczęte roboty zostały przerwane, zapropono- wał malarzowi, by zechciał najdroższą Fornari- nę, przewieźć do „Farnesino“, skoro na chwile nie może jej opuścić. Przygotuje nawet dla niej wspaniałe apartamenty, tuż koło pracowni mistrza. Rafael sądził iż na tą propozycję nie zgodzi się Fornarina. Przyjęła ją jednak z rado- ścią. Jawnie opowiadała, iż jest zrozpaczoną, że przez nią malarz przestał pracować i zanie- dbał swą sławę, w gruncie był powód poważ- niejszy.

Tomasso Chinelli stawał się coraz bardziej natarczywy, zasypywał narzeczoną listami, które mocno niepokoiły dziewczynę i za wszelką cenę należało zabezpieczyć się przed jego gniewem i zemstą. Czyż mógł być lepszy w tym wypadku obrońca, niżli Agostino Chigi, od niego wszak pasterz zależał całkowicie? Należało się tylko sprytnie wiaść do rzeczy, wejść w przyjaźń z bankierem w pierwszym rzędzie.

Gdy Rafael znalazł się zpowrotem w „Far- nesino“, szczęśliwy, iż ma pod bokiem Marga-

rite, z zapałem począł malować a gdy malował zapominał o bożym świecie.

Miała więc uroczą piekarka sporo czasu, który wykorzystywała, rzucając na gospodarza powłóczyście spojrzenia. Wprawdzie był wów- czas Chigi mocno do kobiet zniechęcony, bo słynna kurtyzana Imerja, mimo że obsypywał ją złotem, uciekła dokądciś z jakimś poetą — lecz, że nigdy mężczyzna nie jest tak wrażliwy na wdzięki niewiasty, jak w chwili gdy mu inna rogi przypnie — począł zrazu nieśmiało, później coraz śmiej odpowiadać na awanse Fornariny.

Nastąpił decydujący moment. Dnia pewne- go rano otrzymała Margarita list od byłego narzeczonego, w którym ten wyraźnie oświadczał, iż o ile w ciągu dni trzech nie wyznaczy mu spotkania — sam przybędzie i o wszystkim malarza powiadomi „Niechaj wie, coś warta!“ — temi słowy kończył się list.

Podobna perspektywa nie wchodziła w ra- chuby piekarki. To też gdy w godzin parę póź- niej, Rafael udał się do Watykanu, Fornarina przez służebną zaprosiła do siebie bankiera.

Przyjęła go w tak wyzywającym dezabilu, iż uwieść mogła nawet ascetę. Była niemal na- go i obnażonem ramieniem wsparła się o pod- tatusiałego seladona. To mu dodało otuchy.

Niby dwudziestoletni młodzik, zaryczał jak lew i wpił się w jej usta. I tego nie bronila hultajka. Wtedy przypadł do stóp, począł wyznawać miłość głęboką i obiecywać skarby świata, byle zechciała mu być powolną.

— Wszystko pan dla mnie spełni?

— Wszystko!

Wiarołomna kochanka Rafaela opowiedziała o swej znajomości z Tomasso, zatajając oczywiście bardziej drastyczne szczegóły i prosiła o pomoc. Zakochany bankier uradowany szczerze, iż miast skarbów świata, żądają tak mało, poprzysiął co w mocy, uczynić.

Tegoż więc jeszcze wieczoru, gdy poczciwy Tomasso, gnał ze spokojnem sumieniem, trzodę do chlewów, nagle rzuciło się nań niespodziewanie czterech zamaskowanych drabów, związało jak pakiet, przytroczyło do muła i odstawiło do słynnego z surowej reguły klasztoru Santa Cosimo. Opat bowiem klasztoru, zażyły przyjaciel bankiera, za umiarkowaniem wynagrodzeniem, zobowiązywał się trzymać w zamknięciu kochliwego pastucha dopóty... dopóki się to pannie Fornarinie nie znudzi, lub jemu, pod wpływem umartwień, amory dokumentnie nie wywietrzeją z głowy... Oczywiście, nazajutrz, panna Fornarina, nie namyślając się długo przypięła rogi umiłowanemu mistrzowi

z niezbyt urodziwym ani apetycznym panem Chigi, który ją wybawił od innego uciążliwego kochanka!

W ciągu sześciu lat quasi małżeństwa z Rafaelem, uroczą piekarka, nie krępując się zgoła, dawała folgę swemu temperamentowi, zdradzała dość często. Musiał i malarz przejrzeć istotną wartość, bogdanki, bo w czas jakiś później, nawiązując do zerwania z narzeczoną, siostrzenicą kardynała Bibiena, pisał w jednym z sonetów:

„Jestem zwyciężony, przykuły do wielkiego płomienia, który męczy i pożera. O! jak płonę! Ani morze ani rzeki nie są w stanie ugasić płomienia, a ja bez niego żyć nie mogę! W mym zaślepieniu tak szczęśliw jestem, iż płonąc bardziej jeszcze płonąć pragnę!

Może też dlatego, Rafael na łożu śmierci wspominał o Marji Bibienia (zmarła w 1517 r.) i czując dla jak niegodnej i marnej kobiety ją porzucił — wyraził życzenie aby być obok Marji pochowany.

Lecz nie uprzedzajmy wypadków!

Niektóre przygody rozpustnej Margarity kończyły się tragicznie. Do mistrza z Neapolu, Bolonji, Modeny oraz innych miast Italji a na-

wet z Hiszpanji i odległej Holandji przybywało do „Farnesino” mnóstwo młodzieży, błagając by im zechciał udzielać wskazówek, by ich przyjął choć na krótkie wykłady. Trzeba oddać im sprawiedliwość, iż mimo wyzywającej kokieteryj Fornariny, żadnemu przez szacunek dla wielkiego artysty, do głowy nie przychodziło, by nawiązać stosunek z piękną a łatwą do zdobycia kochanką. Perino del Vaga, jeden ze zdolniejszych uczniów Rafaela, w te słowa odezwał się do Giulio Romano:

— Gdybym ją zastał w mem łożu, prędzej materac wyróciłbym na drugą stronę, nim ległbym obok przewrotnej!

Lecz znalazł się młodzik innych poglądów. W 1518 r. przyjął Rafael do grona zaufanych młodego bolończyka Carlo Firabocci, który niemal nazajutrz po przybyciu do „Farnesino”, nawiązał z Margaritą romans. Miał on stanowić trzeci bok trójką: pierwszy to — oficjalny pseudo mąż Rafael, drugi — poważny opiekun bankier Chigi, zaś trzeci — młody kochanek.

Wkrótce wszyscy, oczywiście prócz Rafaela i Chigi byli doskonale o skandalu powiadomieni, tem bardziej, że Carlo, jako istny dżentelmen, trąbił o swem szczęściu i powodzeniu na lewo i prawo.

Nie wyszło to pyszałkowi na dobre. Uczniowie, oburzeni postępkami i zniewagą mistrza, zerwali z zuchwalcem stosunki. Nie przejmował się zbytnio „Zazdroszcza i tyle!” — śmiał się, a jego zdanie podzielała Fornarina. Lecz, gdy pierwsze ostrzeżenie nie pomogło, sprowokowano Firabocci'ego przy pierwszej okazji. Nastąpił pojedynek i bolończyk padł rażony pchnięciem szpady Perino del Vaga. Oczywiście powód zajścia starannie ukryto przed Rafaelem, zaś Fornarinę poproszono, by na przyszłość zaniechała wyszukiwania lubych wśród grona uczniów.

Imponujący to przykład i istotnie bałwochwalczej trzeba było czci dla Rafaela, by zdobyć się na tak prawdziwie męski i szlachetny postępek.

Tymczasem nienasycony temperament piekarki podkopywał wątłe zdrowie wielkiego malarza. Rafael zapadał coraz częściej, a gdy zaniemógł ciężko, lekarze, przed którymi ukrywał erotyczne ekscesy, orzekli iż jest przeziębiony — i zaaplikowali mu, ulubiony wówczas medykament — obfite puszczenie krwi. Oczywiście, w skutkach okazało się to zabójcze. Osłabili do reszty wyczerpany organizm, miast

wzmocnić. Niewiedza lekarzy i szaleństwo kochanki przyspieszyły śmierć!

W dni parę później Rafael poczuł się nieco lepiej. Fornarina nie odstępowała go na chwilę, wytłumaczyła, iż jest całkowicie zdrow i zażądała dowodu miłości. Oczywiście, nie oparł się słodkiej pokusie, co mistrza ostatecznie dobiło, gdyż czasem miłość może być zabójczą, nie tylko w przenośni. Głupia Margarita narzucając się ze swemi pieśzcotami, nie wiedziała o tem, że miast rozkoszy podaje czarę trucizny!

Rozpoczął się coraz większy upadek sił, wkońcu agonja. Na wieść, że niema żadnej nadziei uratowania Rafaela, papież Leon X wysłał umierającemu apostolskie błogosławieństwo, w tym celu delegując umyślnie kardynała. Gdy do pokoju wszedł delegowany kardynał i ujrzał u wezglowia łoża chorego kobietę, z którą ten tyle lat spędził w grzesznym stosunku — zażądał usunięcia z komnaty Fornariny, bowiem w jej obecności nie chciał wypełniać zlecenia.

Fornarinę poproszono, by wyszła. Lecz wtedy ona, uczepiwszy się nog łóżka, poczęła szlochać, spazmować, bić głową o ziemię, że aż siłą trzeba było pannę Luti z komnaty usunąć. Rafael w ostatnich chwilach życia jakgdyby przejrzał, jakby łuska spadła mu z oczu. Wspo-

minał o zmarłej narzeczonej Marji Bibiena, chciał, by obok niej go pochowano — prosił, by Fornariny nie dopuszczano do niego, by mógł umrzeć spokojnie.

Francesco Penni i Giulio Romano, wciąż obecni przy konającym, wiernie spełniając wolę mistrza, radzi dopiec znenawidzonej piekarce, wzbronili jej kategorycznie dostępu, nieczuli na wszelkie prośby. Margarita błagała by choć zezwolono wejść na chwilę — daremnie! Ujrzała dopiero kochanka, gdy zawarto mu oczy na wieki!

Wielki Rafael zmarł w Wielki piątek dnia 6 kwietnia 1520 r., w rocznicę swych urodzin.

Rafael umierając pozostawił kochance tyle, iż mogła prowadzić życie nie wystawne, lecz wcale przyzwoite. Lecz nie takim był jej charakter. Przez długi czas opiekował się nią Agostino Chigi i uchodziła w Rzymie za jedną z najszykowniejszych kurtyzan.

Wprawdzie po śmierci malarza, bankier doradził Fornarinie, celem uniknięcia przykrości ze strony uczniów zmarłego by zamieszkała czas jakiś u ojca. Schronienie teoretycznie do-

brze obmyślone, okazało się w skutkach niemiem.

Odnalazł ją tam Tomasso Chinelli, który w międzyczasie zdążył z klasztoru drapnąć i przez wdzięczność za pięć lat, spędzonych z jej łaski w zamknięciu, obsypał potokiem wymysłów. Margarita sądziła, iż ostatnia godzina jej się zbliża i chwyciła broni, do której jedynie była zdolna: ofiarowała Tomasso swe ciało.

Lecz ten tylko splunął i pochwyciwszy garść błota, cisnął nim jej w twarz z pogardą.

— Tegoś warta! — zawołał odchodząc.

Margarita Luti zakończyła swój żywot w klasztorze, lecz kiedy? — niewiadomo. Ta okoliczność w błąd wprowadziła wielu historyków, którzy sądzili, iż stać się to miało natychmiast po śmierci Rafaela, spowodowane rozpaczą niewinnej dziewczycy po stracie uwielbianego kochanka.

My wiemy, że sprawa ma się zgoła inaczej.

Takiem było duchowe oblicze Fornariny — pierwowzoru Sykstyńskiej Madonny. Uwiecznił prócz tego Rafael jej oblicze, istotnie pozornie idealne i nieziemskie, w co najmniej tuzinie innych Madon i szeregu świętych. Niejednokrotnie historycy sztuki w różnych obrazach Rafaela doszukiwali się rzeczywistego portretu Fornariny. Ogólnie przyjętem jest zda-

nie, że portretem jej jest t. zw. „La donna velata” — dama z zasłoną, znajdująca się w galerji Pitti we Florencji.

Lecz i na tym obrazie mającym przedstawiać prawdziwy wyraz twarzy kochanki Rafaela, nie zaś zmodyfikowany jak w innych arcydziełach — posiada wietrznica i hultajka minę niewinną i poważną.

SINOBRODY NA TRONIE

Najłatwiejszym sposobem pozbycia się kochanki — jest uciąć jej głowę.

Każdy kraj mieć musi swego tyrana. Miała Francja Ludwika XI, Moskwa — Iwana Groźnego, Anglja — Henryka VIII. Tylko Polska nie posiadała, na szczęście czy nieszczęście, okrutnego monarchy, lecz za to szlachta teroryzowała monarchów...

Podobni oprawcy na tronie są snąc jakąś koniecznością dziejową — gdy ich zabraknie, sam lud przejmuje rolę i pławi, jak w sowietach, pewne kasty w potokach krwi...

Lecz jeśli o Ludwiku XI, czy Ludwiku XIV, czy Groźnym rzec można, że działali w imię, źle czy dobrze pojętych państwowych zasad, o tyle z Henrykiem VIII rzecz ma się znacznie gorzej. Występował stale wyłącznie z egoistycznych pobudek, powodowanych przeważnie poziomą zmysłowością i nie cofał się nigdy przed niczem byle nasycić swe żądze.

Król angielski Henryk VIII nie był pocią-

gającą osobistością. Współczesne portrety przedstawiają go nam, jako tęgiego o nalanej i otoczonej rzadką brodą twarzy — mężczyznę, o wyrazie dumnym, mściwym, lubieżnym i zawziętym. Tym razem konterfekty nie kłamia. Tyran, pijak i rozpustnik prześcignął wszystkich samowładców pod względem wybryków. Z jednej rzeczy się szczylił: głębokiej znajomości teologii — ta jednak erudycja w jego ręku stawała się niebezpieczną i przewrotną bronią. Nie jest moim zamiarem kreślić dzieje Anglii pod rządami króla Henryka, że jednak prywatne królewskie dzieje częstokroć łączą się ściśle z dziejami narodu — w historii Henryka VIII mieć tego będziemy najlepszy przykład.

Zalał on Anglię potokami krwi, nie oszczędzał ani mężczyzn, ani kobiet, ani dzieci, ani starców, ani przyjaciół, ani wrogów, łamał traktaty i przeprowadził reformę kościoła — wszystko dla swych osobistych spraw, miłość wyłączenie.

Silnieby się mylił, ktoby sądził, iż w życiu rodzinnem postępował inaczej; taż sama cechowała go bezwzględność — i słusznie zdobył przydomek — sinobrodego na tronie.

Słuchajmy!

Po raz pierwszy Henryk VIII był żonaty z Katarzyną Aragońską. Było to małżeństwo

w rodzinie, gdyż Katarzyna przedtem poślubiona bratu Henryka, owdowiała i za dyspensą papieża wyszła powtórnie za króla Henryka. Hiszpanka z urodzenia, kobieta niezwykle cnotliwa, religijna, zrównoważona, spokojna nie pasowała do namiętnego i nieokiełznanego małżonka.

To też władca anglików szybko począł szukać pociechy na stronie, że zaś najbliższe pod bokiem były damy dworu, tam umieścił swe afekty. Wprawdzie, by go umoralnić a utrudnić postępy na grzesznej drodze — dobierała królowa same szpetne, podstarzałe lub wielce niewinne panie, lecz że nigdy niewiadomo kiedy niewiasta jest w rzeczy samej niewinną gołębicą, a kiedy niewinność symuluje — ta to okoliczność przyspieszyła katastrofę.

Śród dam dworu znajdowała się niejaka Anna Boleyn, niezbyt wysokiego pochodzenia, bo córka zamożnego kupca. Niezwykłej urody, wysoka brunetka, sprawiała wrażenie skromnej osoby, zresztą miała narzeczonego, lorda Percy.

Gdy Henryk VIII znudzony przygodami z osobami lżejszego autoramentu, jał wśród otoczenia się rozglądać, wpadła mu w oko Anna Boleyn, do której rozgorzał wielką miłością. Lecz Anna czy istotnie była bardzo cnotliwa,

czy też bardzo sprytną — wprost oświadczyła: albo wszystko, albo nic. Albo król rozwiedzie się z Katarzyną Aragońską i poślubi ją, albo prosi, by nie niepokoił jej więcej i nie narażał na szwank dziewiczej opinii.

Znaną jest rzeczą, jak dalece przeszkody na miłosnej drodze rozogniają. Posiąść Annę Boleyn i za jednym zamachem pozbyć się oschłej nudnej małżonki, to projekt cudowny, arcyprzedni! Nie namyślając się chwili, ze zwykłą porywcznością, król wszczyna kroki rozwodowe. Lecz tu napotyka spiętrzone przeszkody. Przeciw rozwodowi są wszyscy. Papież, królowa, większość magnatów... wreszcie narzeczony. Z narzeczonym Henryk miał najmniej kłopotu i załatwił się z nim szybko: kazał mu poślubić, ale to natychmiast, Marję Talbot, co też lord Percy posłusznie uczynił. Pozostawał papież i królowa — z temi sprawa trudniejsza! Lecz na co istnieją prawnicze wykręty? Poczyna się twierdzić, iż pragnąłby mieć męskie potomstwo, zaś ze związku z Katarzyną Aragońską ma tylko córkę chorowitą i wątłą. A gdy i ten powód nie wystarcza, przypomina sobie nagle różne religijne skrupuły. Nie próżno jest teologiem!

Jasno, jak na dłoni, wyłuszcza, iż uważa za wielkie kazirodztwo swój ślub z żoną zmarłe-

go brata i nadal w tak grzesznym związku sumienie mu pozostawać nie pozwala...

Z taką misją delegowany zostaje do Rzymu kardynał Wosly, ale również z drugiej strony następuje energiczny protest. Cesarz Karol V i hiszpański dwór, obrażeni za krewniaczkę, oświadczenia, iż nigdy na rozwód się nie zgodzą.

Papież doprawdy nie wiedział, jak postąpić. Z jednej strony nie chciał narażać się Henrykowi Angielskiemu, potężnemu monarsze, choć czuł, iż ten nie ma słuszności, z drugiej — czyniąc zadość jego woli, wyrządzał zniewagę Karolowi V, siostrzeńcowi Katarzyny Aragońskiej. Sama Katarzyna w tym czasie wydała coś w rodzaju manifestu, czy otwartego listu do króla: „Ulitujcie się, Wasza Królewska Mość — pisała — i nie okrywajcie hańbą mnie i mego dziecka!”

Papież był w ciężkiej sytuacji. Zwlekał i odkładał decyzję. Zirytowany Henryk, sądząc, że to Wosly mu bruździ, lub niedość energicznie umyślnie prowadzi negocjację, choć w istocie kardynał należał do zagorzałych stronników władcy, odwołał go z Rzymu, oddalił ze dworu wkońcu osadził w więzieniu w Londyńskiej Baszcie.

Mała próbka tego, co dalej miało nastąpić! Papież jednak, mimo polityczne względy,

postanowił postąpić zgodnie z sumieniem i sprawiedliwością; wysłał delegata z odręcznym pismem, nakłaniającem Henryka, by powrócił do małżeńskich obowiązków, przestał zaniebyszać, bez wszelkiej dobrej racji, odtrąconą i sponiewieraną małżonkę. Wtedy miała miejsce słynna scena.

Król, gdy czytał pismo, najprzód zbladł, później poczerwieniał, porwał się z miejsca, zmiął list i cisnął pod nogi delegatowi.

— Co mi po takim Ojcu Świętym — zawołał z pasją — co idzie wbrew mej woli! Damy sobie radę bez niego!

Przerażony delegat, nie chcąc słuchać dalszych zniewag, uciekł z sali i pospiesznie opuścił Anglię. Oznaczało to zerwanie stosunków z Rzymem.

Henryk wykonał wtedy plan, zdawna zamierzony. Zebrawszy garść zauszniaków, postanowił uniezależnić się całkowicie od stolicy apostolskiej. Lecz trzeba było temu nadać legalny charakter. Zwołuje więc za pośrednictwem arcybiskupa Kanterberyjskiego Sobór, złożony z całkowicie mu oddanych kreatur. Sobór ten decyduje — raczej decyduje Henryk za pośrednictwem ślepo uległego arcybiskupa — iż odtąd wszelkie stosunki z papieżem

zostają zerwane, zaś głową kościoła w Anglii będzie król.

Na tę decyzję trzeba było jeszcze zgody parlamentu, lecz władca przyzwyczał parlament do posłuszeństwa. Oczywiście, potwierdzono całkowicie decyzję Soboru i ogłoszono, jako posiadającą moc prawa. Przeprowadzona więc została t. zw. Reforma — a zmysłowa żądza króla, chęć owładnięcia Anną Boleyn, była przyczyną oderwania państwa od Katolickiego Kościoła!

Pozostawała jeszcze kwestja rozvodu, lecz z nią załatwiono się sprawnie. Nieoceniony arcybiskup Kanterberyjski, po przestudjowaniu akt oświadczył, iż zachodzi oczywiście kazirodztwo, mało tego... uznał nietylko ślub za nieważny, lecz nawet księżniczkę Marję... za dziecko nieprawego łoża!

W trzy tygodnie po tej samowolnej decyzji, król stanął 1533 r. na ślubnym kobiercu z Anną Boleyn, dzięki której nastąpił jeden z większych religijnych przewrotów w dziejach świata!

Nawiasem mówiąc, Reforma i małżeństwo z Anną Boleyn kosztowały Anglię setki i tysiące ofiar. Szereg duchowieństwa i szlachty wyrażał swe oburzenie z powodu postępków króla. Wtedy Henryk puścił w ruch Izbę Lordów.

Szmerzących chwymano bez pardonu i niemal bez sądu ścinano, lub wrzucano do lochów. Lordowie tem chętniej pełnili zadanie, że król w nagrodę obdarzał ich majątkami ofiar. Wystarczało najlżejszej denuncjacji, cienia podejrzenia, by znaleźć się w więzieniu, a egzekucje trwały całemi latami.

Też pod koniec panowania Henryk doszedł do niesłychanej potęgi: nie miał kto mu się sprzeciwiać, gdyż wrogowie byli albo martwi, albo napół żywi za kratą. U nóg zaś czołgał mu się parlament, niewolniczo posłuszny każdemu skinieniu, gotowy na każdą podłość, byle się przypodchlebić monarsze...

Anna Boleyn triumfowała. W gruncie wszystkie wypadki były dziełem jej rąk. Jak nie triumfować? Toć dzięki niej, Henryk stał się jednocześnie papieżem i królem potężnego państwa, jej z drogi musiała ustąpić Katarzyna Aragońska, dziedziczka najdumniejszych władców Europy. Za najmniejsze złe słówko, rzucane na Annę, winnych prowadzono na szafot, zaś ludność przy spotkaniach oddawała niemal boską cześć.

Od wszystkich tych honorów łatwo mogło się zawrócić w głowie. Lecz jest jakaś nemezis, rządząca światem!

Anna Boleyn znudziła się Henrykowi bardzo szybko. Przyczyną tego była znów dama dworu — ognista Jenny Seymour. I ta również stawiała za warunek małżeństwo, i ta również za przykładem poprzedniczki, chciała być królową. Henryk z największym gustem pozbyłby się nowej małżonki, ale jak postąpić? Wstrzymał go jeden wzgląd, Anna była w ciąży, spodziewał się następcy tronu, wykręcał się więc chwilowo uroczej Jenny, oczekując dalszego biegu wypadków. Gdy jednak Anna, miast chłopca, powiła córkę Elżbietę (jedną z największych późniejszych królowych Anglii), Henryk wtoczył się pijany do sypialni i zawołał ze śmiechem:

— Teraz twój los przesądzony! Pożegnaj się ze światem, piękna Anno!

Powód wyszukano szybko. Wmówiono w jakiegoś rycerza Norrisa, że miewa potajemne schadzki z królową. Norris przysięgał na krzyż św., iż królowa jest niewinna, jak dziecko, iż przysiąc może, że z nią nawet nie rozmawiał. Śmiano się tylko. Wzięto kawalera na tortury, podczas których, wśród niesłychanych cierpień, zeznał, co zechciano i jak zechciano.

Annę Boleyn osadzono w więzieniu.

— Shańbiła królewskie łoże — brzmiał wyrok — zasługuje na śmierć.

Nie pomogły błagania i prośby królowej, „najposłusznieszej i wiernej żony“, nie chciało nawet wysłuchać jej obrony. Wyrok zatwierdził król; został on błyskawicznie wykonany.

Dnia 19 maja 1586 roku spadła piękna głowa Anny Boleyn pod katowskim mieczem na szafocie, na tym samym szafocie, na którym tyłu innych, za jej obrazę, śmierć poniosło.

*

Nazajutrz po straszliwej kaźni monarcha poślubił Joannę Seymour. Wprawdzie Jenny nie pochodziła z wysokiego rodu, gdyż przez ten mariaż król spokrewnił się nawet z jakimś Smithem — kowalem... lecz podobnemi błahostkami nie przejmował się Henryk VIII. Była urodziwą, zgrabną, wesołą — cóż chwilowo więcej obchodzić go mogło? Czy prędko znudziłaby się krwiożerczemu małżonkowi — niewiadomo i niewiadomo, czy i jej głowa nie spadłaby również pod mieczem oprawcy, gdyby nie wypadek nieprzewidziany. Jenny powiła syna, księcia Edwarda. Możeby król, który z upragnieniem oczekiwał męskiego potomka, był ją uszanował przez ten wzgląd? Są to pytania, które pozostaną bez odpowiedzi, gdyż

Jenny zmarła podczas porodu, pozostawiając Henrykowi całkowitą swobodę w poszukiwaniu nowych ofiar.

*

Po sześciotygodniowej żałobie, sinobrody postanowił się ożenić. Ofiarował więc serce i rękę Marji Lotaryńskiej (późniejszej matce Marji Stuart). Ta jednak, że była gorliwą katoliczką i Henryka dobrze znała z reputacji, poczytując go za wcielenie diabła, podziękowała za zaszczytną ofertę... i wyszła zamaż za Jakóba V, króla Szkocji.

Henryk VIII zemścił się, jak mógł i potrafił. Począł z zacięłością prześladować katolików, konfiskować kościoły, kaplice, majątki kościelne, zrywał nawet kosztowne ozdoby ze świętych obrazów. Im bardziej napełniała się, dzięki tej procedurze, jego prywatna szkatuła, tem bardziej stawał się zacięłym przeciw „papistom“.

Znów potoki krwi zrosiły Anglię, a parlament w pewnym momencie oświadczył, iż uważa się za tak zbędną instytucję, że król może sobie doskonale radzić bez niego. Lecz podobna sytuacja nie rozwiązywała sprawy małżeńskiej, a Henryk chciał się ożenić i ożenić dobrze.

Ponieważ usłyszał, że istnieje księżniczka niemiecka, Anna de Cleves, wielkiej urody — do niej zapragnął uderzyć w konkury. Wydelegował tedy do Niemiec swego nadwornego malarza, słynnego Hansa Holbeina. Holbein miał obejrzeć szczegółowo damę i zdać o jej zewnętrznych zaletach wierny raport monarche.

Księżniczka w rzeczy samej nie była urodziwa, w żadnym zaś wypadku nie mogła być w guście Henryka. Co powodowało Holbeinem — niewiadomo. Czy chciał wypłatać figla swemu panu, czy kierowała nim chęć osadzenia niemieckiej princessy na angielskim tronie — lecz pozwolił sobie na żart złośliwy. Obejrawszy Annę de Cleves ze wszęch stron, wymalował jej konterfekt i posłał królowi. Lecz obraz był mało podobny do oryginału. Miast bladej i anemicznej księżniczki, wyobraził na nim tryskającą zdrowiem niewiastę, niewiastę „kraśną a spaśną“, w typie Rubensowskim, taki właśnie typ urody kobiecej, za jakim szalał podstarzały Henryk.

Oczywiście, gdy sinobrody portret ujrzał, aż podskoczył z radości, rozgorzał siarczyście i oświadczył: ta albo żadna!

Wysłał posłów i prosi o rękę, a bracia Anny de Cleves nie śmia odmówić ze względów

politycznych. Biedna księżniczka, dobrze świadoma losu poprzedniczek, nieszczęśliwa i drżąca, jedzie do Anglii, prawie pod przymusem, popłakując, iż z życiem z afery małżeńskiej nie ujdzie.

Rozogniony król pospieszył na jej spotkanie do Douvru i wyczekiwał piękności z bijącym sercem. Dobrze mu się musiała wydłużyć twarz, gdy ujrzał małą, wątłą i zbiedzoną kobięcinę z wytrzeszczonemi z przerażenia oczami. Nie mógł nic dać poznać po sobie, lecz święcie poprzysiął w duchu, skoro tylko go złapie, uciąć głowę Holbeinowi — ten jednak zdążył dobrze się schować, pośmiewając się w kufak z rozczarowania starego adonisa.

Król kategorycznie oświadczył, iż nie myśli się żenić. Ale wtedy jego zausznik Thomas Cranmer ją przedkładał, iż odesłanie Anny de Cleves, ot tak bez niczego, do domu, naraziłoby na międzynarodowe powikłania, ba, może na wojnę z niemieckimi państwami. Nolens volens, Henryk, wściekły, wziął ślub.

Jakiem było pożycie — odgadnąć łatwo. Anna była królową, lecz nikt nie zwracał na nią uwagi. Pozwalano jej istnieć. Nieszczęśliwa błąkała się samotnie po ogromnych komnatach królewskiego pałacu, wdychając za swą niemiecką ojczyzną. I tu niewiadomo, jaki nor-

malnie byłby jej los, gdyby nie szczęśliwy, czy nieszczęśliwy przypadek.

Król znów zdążył się zakochać... oczywiście w damie dworu. Była szczęśliwą wybranką i ewentualną kandydatką na szafot Katarzyna Howard, osoba bardzo arystokratycznego pochodzenia, lecz niezbyt cnotliwej konduity. Przed królem przypisywano jej szereg miłostek, lecz czemuż miała być gorszą od innych? Skoro Anna Boleyn i Jenny Seymour zostały żonami, i ona chce być żoną!... Henryk zgadzał się z tym poglądem w zasadzie najzupełniej, lecz co począć z Anną do Cleves? Niech sobie robi z nią, co chce! Hm! chętnieby zrobił, ale nie wie jak? Głowy niema za co uciąć, jest do znudzenia cnotliwą! Trzeba wymyślić inny pretekst rozwodu!

Zaproponował więc najdroższej małżonce, by dla poratowania zdrowia, zechciała wyjechać na świeże powietrze, na czas jakiś, do letniej siedziby w Richmond'zie. A gdy Anna się tam udała, w dni parę później zawiadomiono ją, że już nie jest królową!!!

Księżniczka de Cleves, posłyszawszy tą wieść, aż zatańczyła z radości i mało nie ucałowała posłów. Życie pod jednym dachem z Henrykiem ciążyło jej niepomieranie, konała

wciąż ze strachu i rada szczerze była, że wyszła cało z jaskini rozpusty tyrana-zwierza.

Kiedy królowi doniesiono, w jaki sposób Anna przyjęła wiadomość o swem „nieszczęściu“, zgrzytnął ze złości zębami, pojąć nie mógł, że kobieta go się tak lekko wyrzeka. W swem zaślepieniu, stałe brał piękne słówka za dobrą monetę i był przekonany, iż każda beznadziejnie się w nim kocha.

Mimo wściekłości jednak, nie ośmielił się mścić na niemieckiej księżniczce. Ofiarował jej pałac w Richmond'zie i wyznaczył znaczną roczną pensję. Tam, zdala od Henryka, żyła Anna spokojnie, ze wstrętem wspominając krótką dolę małżeńską. Oficjalnie tytułowano ją „siostrą królewską“.

*

Coprawda z rozwodem miał Henryk VIII nieco kłopotu: sam z tą sprawą byłby załatwił się gładko, lecz pozostawał naród, przed którym jakie takie należało zachować pozory. Zwołano tedy sobór, przy pomocy nieodzownego Thomasa Cranmera, w składzie dwustu biskupów. Sobór debatował długo, wkońcu orzekł, iż zaszedł wypadek nadużycia dobrej wiary króla. Został wprowadzony w błąd przez

portret urwipółcia Holbeina i wziął ślub z osobą, niegodną nosić miano królowej.

Logika była pierwszorzędną, lecz zakończenie soboru jeszcze lepsze. Bo oto dwustu biskupów pada do nóg króla i błaga, by nie trawił swych dni w samotności i smutku a zechciał ku pociesze i radości życia wybrać sobie nową towarzyszkę.

Oczywiście „papież” Henryk miłościwie spojrział na czołgających mu się u stóp dostojników i równie miłościwie oświadczył, że do woli ich, jako do woli niebios i narodu, się zastosuje.

W dni parę później nastąpił ślub z Katarzyną Howard. Jeśli Anna de Cleves cieszyła się, iż tak łatwo uszła ze szponów krwiożerczego małżonka, jeszcze bardziej radować się musiała, gdy ujrziała los, jaki następczynię spotkał.

Po pierwszych okresach szałów i zachwyków, gdy zdawało się niema rzeczy, którejby Henryk dla lubej nie uczynił, przyszedł, jak zwykle u niego, czas chłodu i zobojętnienia... Tymczasem, ufna w swe siły, Katarzyna sądziła, iż osiągnęła taką władzę nad monarchą, iż jej wszystko wybaczy, iż jej wszystko wolno...

Jak wspominałem, nie była przed ślubem osobą zbyt surowego prowadzenia. Korzystając z licznych wyjazdów starego małżonka, po-

częła odnawiać stare „flirty”, co skończyło się tragicznie.

Gdy Henryk udał się razu pewnego w podróż na północ, miała parę schadzek z niejakim Derenkamem, które stały się wiadome dworakom.

Śród nich nie miała wielu przyjaciół. Nie to, by była sztywną lub niedostępną, ale ponieważ była katoliczką, obawiano się jej wpływów na króla i powrotu do starego „papizmu”.

Misji powiadomienia monarchy o „rogach małżeńskich” podjął się oczywiście niezastąpiony arcybiskup Thomas Cranmer, nawiasem mówiąc, ścięty, jako heretyk, za panowania Marji Tudor — zawziętej katoliczki.

Król, posłyszawszy niezbyt przyjemną wieść, początkowo nie chciał wierzyć. Był raczej zły na tych, którzy go powiadomili, niżli na samą wiarołomną.

Ale kiedy przedstawiono niezbite dowody, podpisał wyrok śmierci... i znów ręka kata pochwyliła w swe dłonie głowę królowej angielskiej.

*

Czy sądziłby kto z szanownych czytelników, iż po wyżej opisanych faktach, Henryk

ustatkował się i miał dosyć przygód małżeńskich?

Gdzie tam! Najspokojniej ożenił się po raz szósty. Wybór jego padł na jakąś Katarzynę Parr. Lady Parr była osobą z doświadczeniem, zdążyła bowiem przeżyć dwóch mężów. Po raz pierwszy owdowiała mając lat szesnaście, a gdy po paroletnim pożyciu zmarł drugi mąż — lord Letimer — Henryk uprzejmie zaproponował trzecie związki hymenu.

Podobno lady Katarzyna tak przeraziła się tą propozycją, iż chciała błagać, iżby jej od razu głowę ucięto, nie czekając ani na ołtarz, ani na noc poślubną. Prócz tego, miała zgęła inne projekty, gdyż kręcił się koło niej bardzo urodziwej i miłej kobiety, szereg adoratorów, znacznie więcej pociągających i mniej wyspecjalizowanych w ucinaniu głów żonom, od Henryka. Lecz woli sinobrodego ciężko było się sprzeciwiać. Konkurenci, zasłyszawszy o groźnym rywalu, pochowali się w mysie dziury, byle nie narazić się na gniew człowieka-zwierza, a biedna Katarzyna, napół przytomna ze strachu, sama nie wiedząc kiedy, stała się królową Anglii.

Pożycie to, jeśli wogóle w danym wypadku określenie podobne zastosować wolno — było szczęśliwem. Cicha i spokojna Katarzyna nie

wtrącała się niemal do niczego, poświęciwszy się całkowicie domowym obowiązkom. Była wzorem żon, czy dzięki przyrodzonej cnocie, czy z obawy przed groźnym tyranem. Czemy się jednak szóste małżeństwo zakończyło — niewiadomo, może i jej głowa, za fikcyjne przewinienie spadłaby pod toporem oprawcy — a Henryk ożenił się po raz siódmy, dziesiąty i dwudziesty piąty — gdyby nie niespodziewana okoliczność.

Powiadają ludzie starzy i doświadczeni, że kto przeżyje dwóch mężów, przeżyje trzeciego!

Istotnie, w 1547 r. zmarł Henryk VIII w wieku czterdziestu ośmiu lat, a że nieboszczyk nikomu krzywdy uczynić nie może — wysłała Katarzyna Parr cało z małżeńskiej opresji. Księżę Edward, następca tronu, który dobrze znał charakter ojca, często później mawiał: „Świątą musiała być za życia nieszczęsna ta niewiasta, skoro wytrzymała z nim aż cały rok!”

Tak się rysują przez pryzmat historii tragiczne dzieje sześciu żon sinobrodego na tronie, zwanego Henrykiem VIII. Na dźwięk tego imienia każdy dziś wzдрыga się ze wstrętem.

LEGENDA O MARION DEL ORME

Kto miłości nie zna, ten żyje szczęśliwy,
Bo i noc ma spokojną i dzień nietęskliwy.
Sęp-Szarzyński.

Komornik królewski mistrz Grappain w Baye na Marnie był dnia 5 marca 1606 roku w niezbyt dobrym humorze. Tfu! do djaska, co za podłe zajęcie! Serce się ma miękkie jak wosk, cały świat do piersiby się przytuliło, każdemu chciałoby się usłużyć i wygodzić a tu... jeno chodź, zajmuj i sprzedawaj graty... Pieskie zajęcie I to znów dziś, w taki dzień... Po dwunastu latach próżnego oczekiwania małżonka spodziewa się przyjścia na świat upragnionej pociechy... zamiast siedzieć w domu, wędruj na licytację... I do kogo jeszcze? Do kmotra Jana, z którym niejedyn kielich się wychyliło i niejedyn wieczór przegadało... Tfu! Przeklnie i jeszcze na dziecko nieszczęście sprowadzi! Ot! Gdyby inne zajęcie znaleźć, dawnoby z tem komornictwem skończył...

Mistrz Grappain z rozpaczą nasunął głębiej

czapkę na czoło i jął wędrować do najbliższej fermi. Zdala już dojrzał go gospodarz i witał radośnie:

— Jak się macie kumie! Wiem... wiem...

— Co wiecie? — bąknął komornik zmieszany.

— No jakto! Na chrzciny przychodziecie zaprosić... Ho... ho... tęgi z was chłop Winszuję!

— No tak... — tamten mruczał coraz bardziej niewyraźnie — tak... chrzciny chrzciniami... owszem, proszę... ale przedtem... — wyciągnął z kieszeni urzędowy papier.

Kmotr Jan spojrzął i zbladł.

— To wy, mości panie Grappain z taką misją do mnie w gościnę? Wy, mój przyjaciel?

— Cóż... służba...

— Pies ten, co taką służbę spełnia!

— Proszę się nie zapominać!

— Ja się nie zapominam! Rzetelnie mówię! Marnuj, licytuj, niszczy! Bierz, zabieraj grąty! Jeno powiadam...

— Co? — pytał Grappain, coraz bardziej zmieszany.

— To coś dzisiaj zrobił, szczęścia nie przyniesie Moją wróżbę jeszcze wspomnisz! Syn ci na świat przyjdzie — złodziej będzie, córka — nierządnicą zostanie...

Nieszczęsny komornik jęknął i zasłonił twarz rękami.

— Panie Grappain, panie Grappain! — usłyszał naraz głos zdala.

Obejrzał się. Biegł ku niemu służący z domu, wymachując rękami.

— Panie Grappain! — wołał zadyszany — rzucajcie wszystko, powracajcie zaraz, pani przykazała! Taka fortuna na was spadła.

— Syn czy córka? — rzucił gorączkowo.

— Córka, piękna panna... tak głośno krzyczy! Ale to nie wszystko!

— Nie rozumiem?

— Przyszła wiadomość! Babka umarła, wielki majątek wam ostawiła...

— Słyszycie, kmotrze, — wykrzyknął Grappain w przyplwywie serdecznej uciechy — słyszycie, babka umarła, jestem bogaty, rzucę to komornikowstwo do czarta, wszystko za was zapłacę, tylko nie sierzdzcie się na mnie, cofnijcie, coście powiedzieli...

Lecz próżno rozglądał się dokoła. Kuma Jana nie było. W przystępie żalu i gniewu uciekł do sąsiedniej wsi. Najpiękniejszy moment życia został niesmakiem zatruty, a w głowie wciąż świdrowała myśl, czy aby rzucone przekleństwo i wróżba fatalna się spełni...

Jeśli dalszy ciąg wielkiego filmu p. t. „Marion Delorme, zechcielibyśmy przedstawić kinematograficznie, to ujrzelibyśmy obraz treści następującej.

Komornik przybywa do domu, gdzie radość panuje wielka, podwójna: z powodu narodzin małej dziewczynki i z powodu nieoczekiwanej fortuny. Lecz dzień ten, piątego marca, jest istotnie w rodzinie Grappain'ów dniem przygód niezwykłych i wypadków nieoczekiwanych. Bo oto nagle przed skromną ich siedzibą staje piękny pojazd a z niego wysiada niemniej piękna i dostojna para. Są nimi hrabina Saint-Evremond tudzież marszałek de Villarceaux, którym śród podróży niespodzianie zepsuła się karoca. Zmuszeni ją naprawić, proszą o gościnę, bowiem w wiosce oberży niema, a dowiedziawszy się o wielkiem święcie w rodzinie komornikostwa, sami ofiarowują się za rodziców chrzestnych.

Tak kinematograficznie zobrazowaćby można przyście na świat i okoliczności, temuż doniosłemu wypadkowi towarzyszące, małej Marji-Anny Grappain, która tyle głośną później stać

się miała pod przybranem nazwiskiem Marion Delorme.

Jak chce dalej legenda Marja-Anna wychowanie otrzymała pańskie. Papa, zgodnie z zapowiedzią, porzucił może pożyteczne, lecz niezbyt miłe zajęcie i nabywszy posiadłość ziemską, przedzierzgnął się w dziedzica i obywatela o wielce arystokratycznych fumach i przyzwyczajeniach. W bawialnym pokoju zawisł szereg portretów mitycznych przodków, jak złośliwi twierdzili nabytych poprzednio gdzieś na li-cytacji, starano się nawiązać, zresztą bez większego powodzenia, stosunki ze sferami wyższymi, pogardzając mieszczaństwem i plebsem, o komornikach odzywano się, jako o czemś pośrednim pomiędzy hyclem a katem. Specjalnie dla małej Marji-Anny nie było nic zbyt wykwintnego ani drogiego. Szczególniej po śmierci matki, która umarła, gdy dziecko miało lat pięć, ojciec ją stroić niby księżniczkę a dobierać najlepszych wychowawców i nauczycieli.

— Zełgaleś, kumie Janie! — czasem myślał — nie sprawdzi się twa zła wróżba! Moja Marionka wyjdzie zamąż za szlachcica... będzie jasną panią... może markizą...

Im więcej podrasła Marion, tem bardziej zapowiadała się na skończoną piękność. A gdy miała lat siedemnaście, niemal nie było takiego młodziana, któryby z zachwytem nie spojierał na urodziwą pannę. Smukła, wysoka, zgrabna, miała wielkie niebieskie, przepastne oczy, niczem morskie głębie, usta jak dojrzałe maliny, włosy krucze, cerę śniadą, niewypowiedziany czar uśmiechu... Z dumą patrzył na dziewczę imię pan Grappain, coraz bardziej utwierdzając się w ambitnych marzeniach. Już teraz może przemyślał nie o markizie, lecz o księciu... Niestety, nie mylił się zupełnie, bo wielu markizów i książąt, ba nawet książąt krwi miała znać Marion, ale... jak? Bo to, czego nie wiedział o swej córce nowokreowany dziedzic, było niezbyt przyjemne i zapewne napełniłoby go trwogą i obawą na przyszłość. Tego, biedak, nie wiedział, że posiada Marion charakter dziwny, niespokojny, że pod pozorami dobrego wychowania i wykwiśniętych manier, ukrywa duszę nieokiełznaną, namiętą, pełną dziwnych pociągów i chęci przygód niezwykłych, że ona córka ludzi, z gruntu poczciwych i spokojnych, tłumi w sobie cały wulkan żaru zmysłowego i pożądań niezdrowych! Tego, biedak, nie wiedział, lecz i tak dość rychło posiadał tę świadomość, świadomość bolesną i druzgocącą wszelakie zbu-

dowane zamki na lodzie i projekty świetnej dla dziewczyny przyszłości...

Razu pewnego, gdy powracał do domu, zastanowiła go wielka panująca w komnatach cisza. Powiadam, zastanowiła, bo o tej porze zwykle grywała panna Marionka piękne kawałki wraz ze swym maitr'em, imię Hiacentym Lemudrié, na klawicymbale. Muzyk był nauczycielem świetnym, znakomicie wpajał w uczennicę finezję faktów, poza tem młodzianem skromnym, grzecznym i przystojnym, o wdzięku niewinnej dziewczynki.

— Hm! — mruknął z zadowoleniem dziedzic Grappain — pewnie szykują nowy „kawałek“! Stąd posłucham... nie wejść do pokoju, żeby ich nie krępować! Ho! Ho!... robi postępy moja panna! Ale... czemu tak długo zwlekają? Przytknął ucho do drzwi, jał łowić z wewnątrz dobiegającą mowę... i... nagle zbladł gwałtownie...

Oto co posłyszał:

— Więc nie chcesz mnie pocałować, dudku! — dobiegł go dobrze znajomy kobiecy głos.

— Panno Marion!... — bronił się mężczyzna — co z tego będzie

— Co ma być?

— Żoną moją zostać pani nie chce a każe się całować i przychodzić wieczorami...

— Bo na męża jesteś... za wielkie... nic...
A że chłopak z ciebie przystojny...

— Ale ja podobnej roli odegrać nie myślę? Za uczciwym na to i za bardzo szanuję ojca pani!

— Dureń!

— Może...

Dalszy tok ożywionej rozmowy przerwał dziwny odgłos, odgłos padającego z jękiem na podłogę człowieka. Gdy panna Marion z przerażeniem pospiesznie otworzyła drzwi, ujrzała nieszczęsnego Grappain'a, który tknięty atakiem apoplektycznym, leżał już nieruchomo, z przymkniętymi oczami, starając się coś wymówić, ale jeno niezrozumiałe słowa padały z posiniałych warg.

— Ojcze, ojczel! — wykrzyknęła, pochylając się nad bezwładnym ciałem.

Umierający spojrzął na nią z rozpaczą, a to, co wyszeptał, pozostało dla złej córki wieczną zagadką, którą nieraz wśród bezsennych nocy daremnie starała się rozwiązać. Było to krótkie zdanie, zdanie dla nas może prędzej zrozumiałe, mimo pozornego bezsensu, zdanie, zawierające tragedję życia i tragedję śmierci przedwczesnej, zdanie tak proste, a w swej prostocie tak groźne:

— Dobrześ rzekł... kmotrze Janie!

— — — — —

Po śmierci rodzica, została panna Marion w sytuacji dość przykrej i trudnej. Raz, że odczuła śmierć głęboko i wyrzucała sobie swe postępowanie, będące mimowolną, choć bezpośrednią przyczyną katastrofy, dalej, że dzięki wszechpotężnym prowincjonalnym plotkom, jęto na nią spoglądać, niby na czarta, a uosobienie wszelakiego zła i wszetecznictwa wogóle — na koniec, iż poczęli zgłaszać się wszelacy bliżsi i dalsi krewni, a stare, zasuszone, nudne ciotki w pierwszym rzędzie — roszcząc sobie prawa do opieki nad sierotą, jako osobą liczącą siedemnaście wiosen, więc niepełnoletnią. Czy chodziło o istotne wylewne uczucia rodzinne, czy o chęć skubnięcia i zarobienia z okazji opieki nieco złota z wcale pokąźnego, pozostałego majątku — ustalić trudno — dość, krewniaki się znalazły i oświadczyły, że wcale z domu ruszyć się nie myślą, a jeśli panna Marja-Anna fochy stroić będzie, to... to zwrócą się do władz o pomoc, bo nawet małe dziecko przecie wie, co spowodowało śmierć starego Grappaina, a ona, nadal pozostawiona samopas... całą „familję“ wstydem okryje... jakim nowym wybrykiem.

Rozumowanie było subtelne i prawniczo niezłe skonstruowane, przeliczyły się tylko „krewniaki“ z jednym... ze sprycikiem młodej panny Marionki, której wcale nie smakował żywot

śródmieszczkańskich a srogich ciotek i wujków, ani nie przedstawiał się w pociągających, różowych barwach. Skoro należało już koniecznie mieć jakiegoś opiekuna, to wybierze go sama... od czegoż wszak jest jej chrzestna matka, hrabina Saint Evremond. Toć chrzestna matka, to prawie jak matka, a prawdziwa hrabina więcej znaczy, niżli pani majstrowa-stryjenka, czy stryjcio-zegarmistrz! Wprawdzie stosunek z ukochaną chrzestną matką dotychczas ograniczał się na paru ad hoc, gwoli imienin, pięknie wykaliografowanych listach z powinszowaniami, czego nie omieszkął dopilnować nieboszczyk Grappain, dumny z wysokiej znajomości, na które listy, następowały szablonowe i krótkie odpowiedzi, życzące chrzestniacze wszelakiej szczęśliwości i pomyślności... lecz cóż... a nuż się uda... spróbować nie zawadzi!

Hrabina, gdy otrzymała nagle dłuższy od Marion list, stropiła się nieco. Epistoła wszakże była wielce chytrze skoncypowana. Nie pisała panna, iż pragnie przy uwielbianej chrzestnej osiąść na stałe i zamieszkać w Paryżu, nadmieniła tylko, że po śmierci rodzica, pragnęłaby rozerwać się nieco, zwiedzić stolicę, może dokończyć edukacji, a że krewni puścić jej nie chcą, prosi hrabinę, jako osobę światłą i rozumną w tym względzie o pomoc i że pobyt, choć

przez czas najkrótszy w jej domu pozostawi jej, Marion, na życie całe niezatarte wspomnienia...

Pani Saint-Evremond miała serce czułe. Wzruszył ją list i pospieszyła zaprosić „biedną, skromną sierotę” do siebie.

Jeśli chodzi o „uzupełnienie wykształcenia”, to nie mogła panna Grappain wynaleźć bardziej odpowiedniego dla swych skłonności, podkreślamy złych skłonności, środowiska, niżli wykwintny pałacyk Saint-Evremondów. Nie zapominajmy, że połowę XVII w. we Francji bynajmniej, szczególnie w wyższym towarzystwie, nie cechowała pruderja ani skromność obyczajów. Niemal w złym tonie było wieść żywot cnotliwy, a po najwytworniejszych salonach, co chwila słyszało się kalambury, w rodzaju tych, jakim kiedyś stara księżna de Rohau uraczyła towarzystwo!

— Moja córka — odezwała się razu pewnego ta sędziwa matrona — jest tak rozstrzepaną, że napewno gdzieś już swą cnotę zostawiła przez zapomnienie!

Również i szanowna chrzestna matka, osoba w wieku Balzakowskim, w tym względzie nie stanowiła wyjątku i niejedną wytwornej

a w wielkich pretensjach do urody będącej damie, kronika skandaliczna przypisywała przysgodę.

Hrabina, zapraszając Marjanę do Paryża, szczerze była przekonana, iż mieć będzie do czynienia z niezbyt ogładzoną zaściankową dziewczyną, którą zamknie wraz z frauencymerem, odgrywać każe coś w rodzaju roli subretki, a ła two zbędzie datkiem starej sukni. Jakież było zdumienie wykwintnej pani, gdy ujrzała przed sobą nie mniej wykwintną pannę, niezwyklej wprost urody, posiadającą znakomite maniery, ton i nawyknięcia sfer najwyższych. Podobnie eleganckie zjawisko dość trudno było wydalić do służebnych pokoi, ucałowała więc chrzestniaczkę serdecznie i nie przypuszczając nawet jakie z tego wynikną niepokoje i kłopoty, wprowadziła do salonu, na zwykłe wieczorowe zebranie, gdzie córka komornika wstępny bojem zdobyła serca wszystkich obecnych młodzieńców i starszych panów.

Dosłownie powstał szmer zachwytów. Tłoczono się do niej, podziwiano, obsypywano pochwałami, prawiono komplementy i dusery.

— Jakież też cuda kryje francuska ziemia! — zawołał entuzjastycznie, obecny poeta Voiture.

Hrabina Saint-Evremond wielce stała się dumna z powodzenia swej pupilki. Czuli, że bę

dzie ona jedną z atrakcyj jej przyjąć i że dzięki niej potrafi ściągnąć do siebie najprzedniejszych kawalerów.

— Wiem dziecko — odezwała się do Marion — gdy ostatni goście opuścili progi pałacyku — nie dla ciebie prowincja... Powinnaś zostać na stałe w Paryżu...

Było to najgorętszym marzeniem figlarki, ale skromnie opuściwszy chabrowe oczęta, odrzekła:

— Jeśli pani hrabina sobie życzy...

— Oczywiście — mówiła chrzestna — wielka karjera cię tu czeka! Tylko się nie zatrzymuj w pół drogi...

O jakiej drodze wspominała pani Saint-Evremond dociec dość trudno. Zapewne, nie o tej, co prowadzi do raju, aczkolwiek „raj“ bardzo różnie pojmować można. Sama również kroczyła ścieżką, zbaczając silnie od surowych wymogów cnoty. Wskazówka ta jednak przypadła do gustu posłusznej panience i postarała się ją skomentować swoiście a wygodnie.

— — — — —

Dla ścisłości przyznać trzeba, że sytuacja towarzyska pięknej Marion Grappain wśród nowego otoczenia, była w rzeczy samej dość niewyraźna. Niby pozornie należała do świetnego grona, a jednak nie należała, niby była za pan

brat z diuszessami i markizami, a jednak w gruncie była intruzem. To czuła przewybornie, zresztą tyle razy dano jej to do zrozumienia, między wierszami, niechcący a złośliwie, osądzając na przynależne miejsce. Czyż każdy z tych wytwornisiów, co czułe słówka szeptał do uszka, dyskretnie nie nadmieniał, iż gotów dla niej popełnić tysiące szaleństw, prócz jednego... nazwania swą małżonką, czyż każdy z tych magnatów, któremu na jej widok oczy zapalały się dziwnym blaskiem, nie twierdził, że gotów u jej drobnych stópek złożyć serce, fortunę, wszystko... ale... ale... do ołtarza powieść nie może, bo... jest tylko panną Grappain, córką komornika... i nic więcej...

Lecz łudziła się jeszcze, sądząc, iż jeśli jej uroda godną jest wielkiej fortuny, to równie jest godną szlacheckiego nazwiska. Niechaj będzie kawaler skromniejszy i nie tak bogaty, toć ona ma też swoje, ale niechaj wprowadzi ją istotnie w nobliwy ród, by wszystkie drzwi stały otworem, by była „kims”, a nie urodziwą mieszczańeczką, której bezkarnie wszelkie propozycje czynić można... Wtedy, wtedy... pokaże tym zarozumiałym pansom, co jeszcze potrafi!

Niestety, marzenia zwykle pozostają marzeniami, a chytry wąż-mężczyzna, czyha i nawet

biedne duszyczki niewieście pod pozorem hymenu sprytnie zwieść potrafi...

Na scenie pojawia się Jacek Vallé Des Barreaux, syn ministra finansów Henryka IV, młodzieniec wielce przystojny, zdolny, choć cyniczny poeta, zamożny i przedsiębiorczy a świetny uwodziciel, kobieciarz, dla którego nic nie jest świętem, wszelki sposób dobry, byle zwycięstwo uzyskać, zdobyć przedmiot chwilowych westchnień. Widzi Marion i powiada sobie, że zbyt łakomym jest podobny kasek, by łatwo go z rąk wypuścić, że wart trudu i zachodu i że niema kobiety, której w ten lub inny sposób okłamać nie było można. Lis tedy przybiera pozory baranka i poczyna koło ofiary krążyć, to udając świętoszka, to świadcząc usługi wszelkie, to narzucając swą osobę, w charakterze bezinteresownego, szczerze oddanego przyjaciela, doradcy. Marja-Anna Grappain pragnie uczyć się grać na flecie, on ją uczyć będzie, bo sam gra świetnie. Rozpoczynają się lekcje, tym razem stokroć niebezpieczniejsze od muzycznych wykładów skromnego imć Hiacynta Lemudrie; patrzy na nie przez szpary poczcziwa hrabina Saint-Evremond, może w istocie nieświadoma ich prawdziwego celu, może zbyt zajęta własnymi miłośkami.

Ale Marietta trzyma się z początku ostro. Wszystko pięknie, w czasie lekcji nawet poca-

łować się można... ale dalej... nie... ona chce stanąć uczciwie przed ołtarzem.

Des Barreaux czuje, że tą drogą jeśli nie przyspieszy wypadków, mało uzyska, jednocześnie, wytrawny galant i don juan czuje, że pod tą zewnętrzną cnotliwą pokrywką, kryje się nieokiełznany temperament, hamowany li tylko ambitnymi marzeniami, który lada chwila wybuchnie, byle rzucić iskrę i że piękna dziewczyna grubo ma więcej zadatków na to, by stać się kurtyzana, niżli poważną małżonką. Tylko choć drobna sposobność, przypadek... ale jaki?

Lecz wielce szlachetnemu i dowcipnemu panu Jackowi pomysłów nie brakło, a tem bardziej romantycznych, niedarmo był poetą. Kiedyś, gdy panna Grappain wraz ze swą chrzestną matką powracają powozem z alei Cours la Reine, najmłodniejszego podówczas miejsca spacerów w Paryżu, nagle w odludnem pustkowiu zostają otoczone przez bandę zbirów, zdradzających pod ich adresem jak najczarniejsze zamiary. Krzyk, rozpacz, przerażenie, łzy, spazmy, zda się za chwilę postradają pieniądze i życie. Lecz nagle, niby Deus ex machina, na spienionym rumaku śpieszy jeździec — oczywiście Des Barreaux, ten sam, który z dość poważnym kosztem i nakładem pracy zorganizował cały napad. Wali brygantów na prawo, wali brygantów na lewo, ci jęczą z bólu i za nieprzewidziane razy poprzy-

siegają później uzyskać dodatkową zapłatę, wkońcu pozostaje na placu boju, jako nowy Achilles i triumfator. Teraz znów płyną łzy, tym razem radości, zapewnienia wdzięcznej w sercu pamięci, dozgonnego za ocalenie zobowiązania.

Ale pan Des Barreaux jest rycerzem do końca. Nie on tak dam opuścić nie może! Toć zbóje mogą powrócić i napaść powtórnie, ba nawet przez zemstę atakować pałacyk hrabiny. On je odprowadzi do domu, mało tego, sam spędzi z nimi całą noc, zorganizuje obronę. Przerażone panie projekt przyjmują z entuzjazmem, a chytry lis z obnażoną szpadą sprawuje wartę przy drzwiach komnat sypialnych.

A gdy, jak powiada piosenka, kury się pośpiły i w sen dobrze zasłużony po burzliwych przejściach, zapadła umęczona hr. Saint-Evremond, wtedy rozchyliły się drzwi pokoju Marjetty, a w nim znalazł się „kawaler bez zarzutu i strachu”. To czego nie zdołały dokazać długie miłosne oświadczyni, dokazał przestрах i... wdzięczność...

Odtąd Marionka całkowicie należy do kochanka, jest nawet doń szczerze przywiązana, żywi efekt głęboki... i jeszcze, naiwna, wierzy, że hymen naprawi chwilowe zapomnienie... wszak Jacek powiada, iż to tylko sprawa tygodni, póki jego interesy ostatecznie się nie ułożą.

A wydaje się pan Jacek równie siarczyście

rozmiłowany. Toć kronika skandaliczna powiada, że aby nie kompromitować bogdanki, zakupiwszy służbę, tydzień cały przebywał o chłodzie i głodzie w komórce z drzewem w pałacu hrabiny, nockami jedynie zakradając się do pokoju Marjonki. Dalej powiada ta kronika, iż podobne postępowanie a nagle na dłuższy okres czasu niewytłumaczone świetnego kawalera zniknięcie, napełniło nawet cały dwór niepokojem o jego los, a dobry król Ludwik XIII, w swej łaskawości, już nakazywał policyjne poszukiwania.

Podobny tryb życia nie jest jednak wskazanym na dłuższy okres czasu. To też dnia pewnego wypłynął pan Des Barreaux w całej okazałości na widownię Paryża, śmiejąc się do rozpuku z własnej przygody, naiwności lubej, tudzież zadziwienia najbliższych przyjaciół. Teraz pewnym już był przywiązania Marionki, postanowił postępować inaczej, nie narażając swych kości na szwank, po komórkach z drzewem.

Wytłumaczył więc jej, że musi bezwzględnie przenieść się do niego, do jego willi, zwanej „Wyspą Cypr” i że tam, po załatwieniu niezbędnych formalności ślub odbędzie się bez przeszkód. Raz jeszcze dziewczyna uwierzyła i bez namysłu, aczkolwiek nieco roniąc łzy z powodu opuszczenia „chrzestnej”, uciekła do kochanka. Czy pani Saint-Evremond zmartwiła się tym po-

stępką zbyt? Wątpię! Ona w poważne zamiary Des Barreaux nie wierzyła na chwilę, lecz nie uczyniła najłżejszego kroku, aby odzyskać lub opamiętać zbiega. Czemu? Zapewne była jej pupilka ciężarem, może niebezpieczną współzawodniczką w sercowych zdobyczach! Może! Dość, że przygodą panny Grappain nie przejęła się wcale, a dalsze je losy pozostawiła biegowi wypadków.

Na „Wyspie Cypr” zaszła w dziejach Marji-Anny Grappain doniosła zmiana. Wytłumaczył Jacek Des Barreaux, iż nazwisko, jakie nosi, jest zbyt mieszczańskim i nie licuje z godnością jego przyszłej małżonki. Wobec tego zamieniono je na więcej dźwięczne miano — Marion Delorme — czy też, jak piszą inni biografowie na całkiem już z szlachecka brzmiące — de Lorme.

Na „Wyspie Cyprze” narodziła się nowa bogini miłości!

— — — — —

W pięknie urządzonej, jak na owe czasy — nie zapominajmy, że w królewskiej siedzibie Louvr'ze miast dywanów rozpościerano wtedy słomę, którą codziennie zmieniano — czuła się świeżo nobilitowana panna Delorme wcale dobrze. Każda jej zachcianka była rozkazem, każ-

dy spełniał jej najdrobniejsze kaprysy. Liczni przyjaciele Jacka zbierali się tam wieczorami, stanowiąc najbliższy sztab i dwór i sławiąc wyszukanemi słowy krasę i wdzięk nowej piękności. Świetnie zdawali sobie oni sprawę, jaką w istocie rolę odgrywa Marionka, doskonale wiedzieli, że nigdy Des Barreaux z nią się nie ożeni i niejeden z nich podstępnie przemyślał jakby mu nową zdobycz sprzątnąć z przed nosa, lub z biegiem czasu zostać szczęśliwym następcą. Jedynie Marion łudziła się jeszcze... Ale gdy upłynęło pół roku, a droga do ołtarza wciąż przedstawiała się niby szklanna góra, na którą drapać się można bez końca i jej nieco jęły otwierać się oczy. Więcej jeszcze, jęły otwierać się oczy, że kochanek nietylko nigdy ślubu uczciwie nie obiecywał, ale teraz, bałamut, zdradza na prawo i lewo, w gruncie rad pozbyć się jej nawet całkowicie, aby odzyskać częściowo utraconą wolność. Toć dla Jacka półroczny okres, spędzony przy boku jednej niewiasty, był okresem długim niebywale! Co robić?

Kochała i mimo nadskakiwań a duserów przeróżnych gładyszów nie mogła, nie chciała zdradzić. Co robić? Raz jeszcze rozmówić się poważnie? Toć tyle razy wszczyniała rozmowę, za każdym razem wynajdywał nowy wykręt, nową odwołkę! Porzucić pierwsza? Niestety, na to

miała zbyt mało siły, zbyt ciężko było utracić Jacka na zawsze!

Więc?

Jak zwykle w takich razach do ostatecznego zerwania przyczynił się przypadek.

Dnia pewnego służący melduje, iż przybył w odwiedzinę jakiś nieznanym młodzian i konieczne nastaje, by zostać przyjętym, bo zna pannę Delorme jeszcze z czasów dawniejszych i pragnie w sprawie niecierpiącej zwłoki porozumieć. Zaintrygowana poleca wprowadzić nieoczekiwanego gościa i dziwi się jeszcze bardziej, gdy przed nią staje jej były maitre muzyki imć pan Hiacynt Lemudrie, ten co swego czasu odegrał rolę cnotliwego Józefa.

— Pan?... — szepce zażenowana, bo jak różną jest jej dzisiejsza pozycja od dawniejszej, pozycja kochanki bogatego bałamuta.

— Tak... — odpowiada, czerwieniąc się również Hiacynt — po długich trudach odszukałem, bo może na co przydać się mogę...

Ona wciąż patrzy nań i w milczeniu wskazuje, by zajął miejsce. Tyle, tyle wspomnień, miłych, przykrych, tragicznych, toć ta śmierć ojca...

— Marionko! — mówi powoli młodzian — pozwól, że jeszcze cię tak nazwę... Umyślnie przybyłem, chcę uratować... Rzuć jego... Des Barreaux... rzuć ten cały blichtr i blask, który

cię spycha w błoto... Zostań moją żoną, zostań uczciwą kobietą...

— Tybys teraz chciał... po tem... — zdumiała się ogromem jego miłości i poświęcenia.

— Zapomnę o wszystkim!... Zrozum, on cię oszukuje, cały Paryż się śmieje z twego poświęcenia... ma codzienną nową przygodę miłosną... Zrozum... Nie spychaj sama siebie w przepaść... Uciekajmy... Wyjedziemy, zamieszkamy zdala od ludzi, na wsi, gdzie nas nikt nie zna...

— Kochany chłopcze... — poczyną Marion, lecz dokończyć nie może, łzy tłumią dalsze wyrazy.

— Ja przez ten czas cały żyłem tylko myślą o tobie! — przypada młodzieniec do jej stóp i poczyną je okrywać pocałunkami.

— Mój wierny przyjaciel! — głaszcze w zamysleniu do kolan przytuloną głowę.

— Więc zgoda! Uciekajmy!...

— Wiesz...

Nagle z hałasem rozwarły się drzwi i ukazał się w nich Jacek, który niepostrzeżenie powróciwszy do domu od dłuższego czasu podsłuchiwał rozmowę. Była mu ona wysoce na rękę.

— Więc tak! — zawołał z prawdziwym czy symulowanym gniewem. — Więc tak! W czasie mojej nieobecności pani gachów przyjmuje i w amory się bawi! A ja, taką kurtyzanę chciałem uczynić moją żoną!

— Jacku!

— Milcz! Nie wierzę żadnym tłumaczeniom. To, co widziałem, wystarczy! Wszystko między nami skończone! Precz z mego domu, bezwstydna!

— Ależ, panie... — pragnął wyjaśnić sytuację mocno przerażony imię Hiacynt.

— A ty, podły muzykusie, — nie dał mu dokończyć obłudnik — też wynoś mi się stąd w tej chwili, bo gnaty połamię... Ha! ha! Ładna banda...

Co powiedziawszy, odszedł Des Barreaux, trzasnąwszy drzwiami, wielce kontent sam z siebie i zrządzeń losów. Gdyby był mógł, zapewnie „podłego muzykusa” wyściskałby serdecznie.

— — — — —

Opuściła biedna Marion „Wyspę Cypr”, ale nie została żoną Hiacynta Lemudrie, ani też nie dała się nakłonić do wyjazdu z Paryża. Kochać, złamana moralnie nie mogła, poza tem czyż ten człowiek nie stawał, niby pech chodzący, przed nią stale w najbardziej tragicznych momentach jej żywota? Śmierć ojca, ostateczne zerwanie z kochankiem, bankructwo śmiałych marzeń, których do ostatniej chwili się chwyciła, niby tonący słomki się chwyciła... Nie! fatalny to był

dla niej człowiek ten pan Hiacynt i więcej go nie chciała widzieć na oczy.

Natomiast nastąpiła w niej, w jej psyche, przełomowa zmiana. Znienawidziła mężczyznę, postanowiła nim pomiatać, kpić, drwić, znęcać się nad całym przewrotnym męskim rodem, wyrzucić ze swego serca wszelkie uczucia, jako niepotrzebny, dokuczliwy balast. Być kurtyzana, ale wielką kurtyzana... Jak Lucifer skoro nie mógł zostać Bogiem, stał się królem piekieł, tak i ona, gdy nie może być wielką damą, będzie... wielką nierządnicą. Niechaj ją miłują, wielbią, sławią, niechaj u jej stóp składają majątki i życia w ofierze, ona przejdzie po sercach obojętna, z drwiącym uśmiechem... Kocha pieniądze, kocha wykwińt, kocha przepych, kocha samą siebie... poza tem nie pokocha nikogo. Inni są na to, aby dali jej to wszystko, nie otrzymując nic wzamian!

Wnet zobaczymy, jak w codziennej praktyce dały się zastosować te piękne maksymy i czy jest kobieta, któraby mogła całkowicie wykreślić ze swego żywota uczucie! Wnet to zobaczymy! Ale na początku Marion swe zasady przeprowadza z całą konsekwencją i zimnym wyrachowaniem.

Więc wynajmuje piękny pałacyk na Place Royale, który za ojcowską schedę urządził niemiernie pięknie. Biegną do niego ze wszech stron

Francji możni tego świata, by złożyć hołd pięknej pani. Biegną książęta, markizi, hrabiowie, marszałkowie, ministrowie, dostojnicy świeccy i kościelni, nie brak uczonych i artystów... ci jednak zadowolnić się wyłącznie muszą opiewaniem wdzięków „nowej Wenerzy”. Marion, jako gospodyni, jest przemiła, czarująca, uprzejma... ale wstęp do jej sypialni uzyskuje się wyłącznie za cenę sum olbrzymich. Toć podobnie królewski dwór kosztuje niemało, ona nie myśli oszczędzać nikogo, jakby umyślnie z lekkim sercem rujnuje wielbicieli, by sumy uzyskane równie lekkomyślnie z pańskim gestem wyrzucać przez okno. Ma się nad kim litować, a czy nad nią litowano się przez chwilę? Im bardziej jest kapryśną, zmienną, wymagającą, niestałą, tem bardziej powodzenie rośnie. Nawet wykwińtne damy, znęcone przepychem kurtyzany, nie wahają się składać jej wizyt, nawet odwiedza pocichu „chrzestna” hr. Saint-Evremond, dumna może, że rada „niezatrzymywania się w pół drogi” nie poszła na marne, należycie ocenioną została. Toć są to tak dziwne pod względem towarzyskim w Paryżu czasy, że do innej, współczesnej Marion Delorme, kurtyzany, — równie słynnej z urody Ninon de Lanclos — arystokratyczne matki nie wstydziły się przyprowadzać córek, aby ta, głośna z rozwiązłego życia osoba, udzielała im lekcji dobrego tonu i salonowej ogłady.

Jeśli chciałbym wyliczać wszystkich faworytów Marion, nie starczyłoby mi na to nietylko tomu, ale i wołowej skóry, zresztą wyliczyłbym musiał wszystkie najznakomitsze nazwiska Francji. Wyliczyłbym musiał i marszałka de Mayrée, hrabiego de la Ferté, księcia de Rohan, prezydenta de Chevré, pana D'Emery i tylu, tylu innych. O spojrzenie Marion bito się, pojedynkowano, walczone i zabijano, co jednak na niej nie sprawiało najmniejszego wrażenia. W jaki sposób traktowała swych chwilowych a stale wielce zamożnych faworytów, niechaj świadczy fakt następujący:

Gdy cieszący się względami pięknej pani, dzięki oczywiście monarszym prezentom, marszałek de Mayrée, udał się na wyprawę wojenną, zresztą dość krótką, po powrocie do Paryża zastał miejsce zajęte. Szczęśliwym rywalem był pan D'Emery, minister ówczesny finansów... rywał szczęśliwy... bo był ministrem finansów

— Wie pani... to oburzające... taka przewrotność! — rozgniewał się niefortunny amant.

— Nic oburzającego nie widzę! — odparła najspokojniej Marion Delorme — pan zdobywał, drogi marszałku, w czasie pochodu cudze posiadłości, tu zdobyto pańskie! Szczęście wojenne zmienne bywa... czemu się gniewać!

Punktem kulminacyjnym kariery pięknej kurtyzany była jej znajomość z wszechpotężnym

kardynałem Richelieu, istotnym niekoronowanym królem i dyktatorem Francji. Richelieu mógł wszystko, na jego skinienie spadały z karków najpotężniejsze nawet głowy, drżano przed nim, płaszczono i schylano, pocichu przezywając „czerwonym człowiekiem”, czy to od barwy purpury, która go zdobiła, czy potoków przelanej krwi, które na tą purpurę spadały.

Zimny, okrutny, wyrachowany, beznadziejnie skąpy kardynał, dla Marion posuwał się do szaleństwa, i Wiktor Hugo w swym dramacie p. t. „Marion Delorme” wbrew historycznej prawdzie przedstawił wzajemny stosunek. Nie odtrąciła wietrznicą, jak twierdził Hugo, zalotów „czerwonego człowieka”, nie żywiła do niego najłżejszej nienawiści, lecz wprost przeciwnie dumna była ze związku, dającego jej spełnienie wszelkich zachcianek i wpływy niemal nieograniczone. Ponieważ krwawy kardynał, zachowujący zewnętrznie ogromnie surowe pozory nie mógł bogdanki widywać jawnie, odwiedzała go Marion pocichu, w przebraniu pazia, chyłkiem się przedostając i wykradając z kardynalskiego pałacu. Wypruła ze starego sknery sumy wcale znaczne, a później, gdy ostygł „żar zmysłów” i erotycznych porywów „czerwonego kata” — potrafiła z Richelieu zachować dobry i przyjazny przez czas długi stosunek i miał on piękną kurtyzanę używać do przeróżnych zleceń politycz-

nych, jako tajnego konfidenta, miała mu być w różnych wywiadach wielce pomocną, dzięki rozległym znajomościom i elicie towarzyskiej, zbierającej się w jej salonach.

Ostateczne poróżnienie z wszechwładnym dyktatorem nastąpiło z zgoła przyczyn innych i tu po raz pierwszy w bezserdecznej karierze natknęliśmy się na poryw serdeczny panny Marion, a może tylko kobiecą podrażnioną ambicję.

W 1625 roku przybył do Paryża w misji dyplomatycznej słynny książę Jerzy Buckingham, „piękny z pięknych”, najbogatszy i najwytworniejszy w Europie kawaler. Przybył, jako poseł króla angielskiego, i swą urodą, przepychem, rozrzutnością olśnił błyskawicznie wersalski dwór. Na balach pojawiał się w szatach obsypanych brylantami, za cenę których możnaby dziś śmiało kupić ze dwie kamienice, a dla zaimponowania współczesnym urządzał się tak, iż w czasie tanów, jakby umyślnie gubił kamienie, siejąc dokoła siebie lśniąca drogę, a nie schylając się nigdy po zgubę, czem podkreślał, iż zbyt jest bogaty, aby dbać o podobne drobiazgi.

Wzdychało do świetnego księcia niemal każde serduszek niewieście i na jego widok było zwawszem, przyspieszonym tętnem, Buckingham jednak mierzył wysoko i postanowił zdobyć... ni mniej ni więcej... tylko samą... królową Annę Austryjczkę. Czy osiągnął cel swych zamierzeń

niewiadomo; różnie różni historycy o tym fakcie piszą i fakt komentują, dość, że szeptano sobie o nim na ucho, że cieszy się względami najdosłowniejszej pani i że z tej to przyczyny na inne niewiasty nie zwraca, dumny z powodzenia, najmniejszej uwagi. Kardynał Richelieu podkochiwał się również w monarchini, a stale odtrącany z pogardą, traktowany oziębło, wściekał się teraz, gdy go dobiegły wersje o powodzeniu zamorskiego gościa i gdyby tylko mógł, byłby Anglika najspokojniej utopił, albo głowę uciął z prawdziwą rozkoszą.

Ale zachowanie dumnego pana drażniło i drugą osobę... Marion Delorme. Czemu nie zwrócił jeszcze na nią uwagi, czyż nie jest od królowej piękniejszą? Czyż wogóle może istnieć mężczyzna, któryby przeszedł obok niej obojętnie, nie uległ czarowi jej wdzięków? Nie! To niemożliwe! Ona rzuci rozbałamuconego pana do swych stóp, zmusi go, by dla niej szalał.

Przedewszystkiem należało się pokazać brytańskiemu lwu, należało w ten czy w inny sposób z nim się spotkać. Lecz od czegoż słynne „Cours la Reine”, miejsce przechadzek wytwornego świata! Istotnie poczyną Marion dopóty manewrować, dopóki nie napotyka się na Buckinghama... i wszystkie przewidywania sprawdzają się do najdrobniejszych szczegółów. Angielski książę staje zdumiony pięknem zjawis-

WŁADYSLAW WĘSKA
OZKA

kiem, podziwia, zapytuje kim jest czarująca dama, a otrzymawszy odpowiedź, że dla ludzi hojnych osoba to bardzo miłościwą, postanawia zawiązać znajomość.

Przyjacielem „en titre” syreny był podówczas hrabia de la Ferté, dzentelmen pozbawiony wszelkich skrupułów oraz mocno nadszarpnięty fantazjami i kapryсами lubej. Zauważwszy wrażenie, jakie wywarła Marion na świetnym kawalerze, umyślił przedstawić go bogdan-
ce, co prócz zadowolenia z okazania pomocy w szczęściu dwojgu ludziom, miało przynieść i tą korzyść, że przy tej okazji zamierzał porządnie ograć Buckinghama w karty, o ile oczywiście losy dozwolą i własna zręczność palców w „korygowaniu losów” nie zawiedzie.

Wszystko poszło jak z płatka. Księżę został sprowadzony na wieczorne przyjęcie do panny Delorme, z wielką gracją i nie skrzywiwszy się nawet, przegrał wcale okazałą sumkę 25 tysięcy ocu do pana hrabiego, poczem w najlepszym humorze zasiadł do wspaniałej kolacji. Po kolacji jednak, kiedy reszta towarzystwa znów znalazła się przy „landskneczcie”, prócz jedynie gospodyni, symulującej ból głowy — niby to niechęcy, miast zasiąść do gry, znalazł się w buduarze uroczej kurtyzany.

Buduar oświetlony był a giorno, piękna Marion siedziała w płaszczu na kozecie, rzekłbyś

oczekując gościa — a kiedy Buckingham chciał coś przemówić, położyła palec na ustach, nakazując milczenie, zbliżyła się do drzwi, przekręcając klucz w zamku, następnie z całym spokojem rzuciła z siebie piękny płaszcz, ukazując się oczom zdumionego Anglika... wyłącznie w stroju matki Ewy.

Księżę stał oszołomiony.

— Podobam się? — rzuciła odniechcienia pytanie.

Bez słowa, chciał zbliżyć się do niej.

— Halt! Mości panie — zawołała. — Nie tak prędko! Przódy postawię warunki!

— Zgóry zgadzam się na wszystko! — oświadczył z uśmiechem Buckingham, sądząc, że porządnym haraczem przódy okupić się będzie musiał.

— Na wszystko? Nie wiem? — powtórzyła figlarnie.

— Oczywiście...

— Skoro tak... Ile nocy księżę królowej poświęcił?

— Ależ, proszę... — wybełkotał zmieszany niedyskretnym zapytaniem.

— Hm! Nie chce Wasza Dostojność się przyznać? Domyślałam się tego! Ale w Paryżu powiadają, że trzy... Otóż ja żądam tylko sześć... ani jednej mniej... Możem nie warta dwa razy tyle, co królowa

Odtąd poczęła się wielka miłość pomiędzy wytworną parą, co osiągnęło ten skutek, iż kardynał Richel'eu znienawidził głęboko Marion Delorme i zerwał z nią wszelkie stosunki. Darować jej nie mógł, że obdarzyła swemi łaskami znienawidzonego rywala, darować nie mógł, że ona, jego agent tajny utrzymuje stosunki z osobistym wrogiem kardynała. A że „czerwony człowiek” miał pamięć dobrą, potrafił się zemścić i Marion dobrze dokuczyć, o czem za chwilę. Potrafił się również ostatecznie, podstępnie, po swojemu, załatwić z Buckinghamem, bo ten w 1628 r. został w Portsmouth skrytobójczo zamordowany przez niejakiego Johna Feltona, który miał być narzędziem płatnem okrutnego, nie przebijającego w środkach a nie wybaczącego nigdy, nawet uraz najdrobniejszych, kardynała.

— — — — —

Śmierć „wspaniałego księcia” odczuła Marion, aczkolwiek nie wiem, czy ich związek zresztą krótki, w rzeczy samej nazwać można miłością. Na początku była podrażniona ambicją kobieca i chęć zatriumfowania choćby nad królową, później szczodry amant tak obsypywał Marion deszczem złota, iż przez to samo ciężko rozróżnić, gdzie kończył się interes a poczynano uczucie.

Ale miała przeżyć panna Delorme, mimo zapewnień o nieczułości, lodzie i chłodzie serca, swą wielką, prawdziwą miłość, miłość romantyczną i jak każdy afekt romantyczny — zakończoną tragicznie. Stało się, gdy miała lat trzydzieści parę, jak każdej kobiecie się zdarza, co za młodu przed sentymentem się broni, bowiem figlarny amor wyczeka moment i zawsze swą strzałę w sercu umieścić musi, a złośliwiec z niego taki, że nie daruje nawet leciwej białogłowie. Tedy...

Któregoś dnia w 1641 roku przyprowadził na recepcję do Marion Delorme słynny uczony Descartes wielce modnego podówczas w sferach dworskich w Paryżu, młodziutkiego markiza Henryka d'Effiat, przezwanego „Cinq Mars'em”. Panicz ten, z ramienia kardynała Richelieu, został przydzielony w charakterze najbliższego towarzysza do boku ponurego, milczącego króla Ludwika XIII, by rozweselić monarchę i oczywiście pocichu donosić kardynałowi o zamierzeniach władcy. Oficjalnie „Sin-mar”, piastował godność „wielkiego koniuszego”, przestając jednak wciąż przy osobie króla, posiadał na umysł kapryśnego i smutnego pana wpływ dość znaczny, dzięki któremu tańczyli wokół niego dworacy, a który on również sam przeceniał... co rychło, niestety, miało go kosztować głowę. W onym momencie atoli liczono się z nim wiel-

ce, on zaś spozierał na otoczenie nieco zgóry, był nieprzystępny, arogancki, dumny. Znęcony ciekawością ujrzenia słynnej kurtyzany, dał się w jej progi sprowadzić Kartezjuszowi.

Pierwsze wrażenie, jak często przy „wielkich zakochaniach” się wydarza, wypadło jak najfatalniej.

— Zarozumiały dudek! — określiła gościa Marion.

— Hetera, udająca wielką damę! — mruknął „Sin-mar” i zły na siebie, iż się dał skusić, usiadł w kącie saloniku, oczekując rychło-li, jego towarzysz Kartezjusz, ukończy z Cornelle'm uczoną dysputę, by wspólnie z nim opuścić pałacyk piękności.

Zachowanie markiza podrażniło Marion Delorme. Jednej rzeczy nie znosiła i pojąć nie mogła, tego mianowicie, aby jaki mężczyzna mógł przejść koło niej obojętnie, odrazu nie oszalał dla niej, nie począł obsypywać komplementami. Obojętnością można było uroczą damę zaprowadzić do piekła, jak na pasku. Zbliżyła się więc, uprzejma gospodyni, do samotnego i wszczęła z nim rozmowę. Co mówili, niewiadomo, lecz z początku obojętna konwersacja jęła się tak ożywiać, a oczy pary gorzeć takim blaskiem, iż z podziwem spodzierali na nich obecni, nie rozumiejąc nic ani z zachowania się Marion, ani

z niezwykłego podniecenia zwykle oziębłego „Cinq Mars'a”.

— Wie pan, panie markizie, — mówiła, gdy zęgnali się o trzeciej nad ranem — ja urodziłam się piątego marca, pana nazywają „Cinq Mars'em” (piąty marca)! Nie wiem czemu, lecz odnoszę wrażenie, iż nasze losy dziwnie kojarzą się z sobą!

I on, zapewne, miał to samo wrażenie. Nie omieszkał zresztą fatalizmu losów podkreślić, gdyż poczynając od dnia następnego stał się codziennym i najbardziej wyczekiwany gościem panny Marion Delorme.

Tym razem Marion naprawdę kochała. Kochała, jak nikogo w życiu, teraz poznała dopiero, czem jest istotne uczucie i w jakich formach się ono objawia. Marzyła jakby najdłużej umiłowanego zatrzymać przy sobie, czemby mu się przypodobać, drżała, by go nie utracić. Wszyscy zostali sromotnie z pałacyku przy Place Royale przepędzeni, nie chciała poza „Sin Mars'em” znać ani widywać nikogo. Co znaczyli obecnie dla niej, ci obojętni ludzie obsypujący ją złotem, cóż znaczyło, wobec miłości, złoto samo? W wielkim żarze afektu przetopiała się na inną istotę,

jak w ogniu kruszec się na metal szlachetny przetapia!

Godzinami siedziała w oknie, z niepokojem oczekując na jedyne go Henryka. A nuż nie przyjdzie, a nuż ją sobie uprzykrzył, może zrazi go ta jej tyle skandaliczna, tyle głośna przeszłość? Och! Coby dała, by tę przeszłość wymazać, wykreślić z życia. Dla niej nie istniała, czuła się jak wstępująca w życie niewinna dziewczyna, lecz czy on „to” rozumie, „to” pojmie?

Lecz i „Sin-mar” był zakochany, kochał, młodszy o wiele od bogdanki, po raz pierwszy w życiu. Porwał go wir namiętności, porwał go ogrom poświęcenia, przywiązania Marion. Toć, co dnia, na jego przyjęcie stroiła swój pałacyk w świeże kwiaty, co dnia przyjmowała go w świeżej toalecie, której nie nakładała już po raz drugi nigdy.

— Tyś mój król! — wołała w przyptywie bezgranicznego oddania — jak króla chcę cię podejmować! A nawet na dworskie przyjęcia występować należy z przepychem i strojniami!

Rujnowała się formalnie dla kochanka, z bez troską wyrzucając złoto co tyłu innych wyrzuciło na nią. A czasem, gdy siedziała bez grosza, bo nie zdążono jej dostarczyć pieniędzy, czy to z jej wiejskich posiadłości, czy za zastawiane i sprzedawane klejnoty — i w tych wypadkach

wzbraniała się przyjąć choćby chwilową, kilkogodziną pomoc.

— Nie, Henryku! — mówiła — gdybym cokolwiek przyjęła od ciebie, miałabym wrażenie, żeś mnie kupił! Nie! Po stokroć nie Taką moja natura. iż wierz mi, czułabym się poniżoną, nie-szczęśliwą... Nie nalegaj i nigdy do moich spraw finansowych się nie wtrącaj...

Wielki koniuszy dosłownie mieszkał u panny Delorme i poza nią świata nie widział. Podobne postępowanie, rzecz oczywista, wywołać musiało niebywały skandal w towarzyskich sferach. Głośno oburzały się markizy, zazdrosne, iż zabrano im wytwornego kawalera, nie mniej głośno plotkowali, urodzeni plotkarze mężczyźni, ci w pierwszym rządzie, co dzięki nowej miłości, przez Marion nieubłaganie z raju wypędzeni zostali. Mówiono i uporczywie obnoszono wersję, że „Sin-mar”, w swem zaślepieniu, wziął ślub potajemnie z kurtyzaną! Przecież to okropne! On, potomek jednego z najarystokratyczniejszych rodów Francji z taką heterą! Nie, podobna sytuacja nadal trwać nie może, należy ocalić go, choćby wbrew własnej woli, wyrwać ze zdradzieckich objęć syreny, w tą sprawę wienien się wdać osobiście król!

Ludwik XIII zawezwał markiza Henryka.

— Mój ty, „Sin-mar” — odezwał się doń, cedząc słowa powoli i nie patrząc mu w oczy —

powiedz, proszę, czy prawdaż, żeś wziął jakiś tam... ślub...

— Jeszcze nie, najjaśniejszy panie — odparł śmiało młodzieniec.

— Hm... hm... wiesz, jak cię lubię, więcej powiem, kocham jak brata... postaraj się zerwać.

— Niemożliwe, sire! Wolę porzucić dwór!

— Mniebyś porzucił?

— Pozostanę na zawsze wiernym i oddanym sługą!

— Hm... hm... — Ludwik XIII nie wiedział, co mówić. W gruncie tchórzliwy, trzęsący się przed kardynałem Richelieu, słaby, a przez słabość często dwulicowy, podstępny i poświęcający nawet najlepszych przyjaciół, o czem niezadługo miał się przekonać „Sin-mar”, bał się zarówno utracić faworyta, jak i wystąpić przeciw niemu energicznie.

— No... no... — oświadczył po chwili. — Nie rób mi tyle przykrości! Bez ciebie byłoby do prawdy królowi bardzo smutno! A tu aż uszy puchną! Wszyscy ze skargami.. Ten... kardynał... wiesz... utopiłby mego „Sin-mar'a” chętnie w tyżce wody... ja liczyć się muszę...

— A kto jest panem Francji? — zawołał, swoim zwyczajem, odważnie markiz Henryk — krwawy Richelieu czy Wasza Królewska Mość?

— Nie mów tak — zatkał uszy monarcha rękami, choć promyk radości przebiegł twarz, gdy

połyszał słowa wymierzone przeciw zniechęconemu opiekunowi — nie mów tak... a poza tem urządzaj się, jak chcesz... byle bez rozgłosu!

— Rozkaz, sire!

Rozmowa powyższa była wielce brzemienna w skutki i wielce się odbiła zarówno na losach „Sin-mar'a”, jak i losach biednej Marion Delorme. Chwilę zaczekajmy.

Istotnie, po rozmowie z królem, markiz zmienił postępowanie zasadniczo. Krył się, jakby ze swym stosunkiem z ukochaną, odwiedzał ją jedynie potajemnie, w mrokach nocy, zakradając się do pałacyku.

— Rozbito nasze szczęście! — wołała zrozpaczona Marion — wstydzisz się mnie! Niezadługo całkiem cię utracę!

Uśmiechał się, nic nie odpowiadał.

— Henryku! — błagała — jeśli istotnie mnie kochasz, jak ja cię kocham, porzućmy Paryż, uciekajmy! Wyjedźmy do Anglii, tam prześladowania ustaną, będę ci najwierniejszą niewolnicą...

— Jeszcze nie pora! — zagadkowo odpowiadał.

— Nic nie rozumiem! Coś kryjesz przede mną! Boże! jakim nieszczęśliwa...

— Miej do mnie zaufanie i nie przejmuj się zbytnio!

— Nie mam się przejmować? Lada dzień więcej cię nie zobaczę? Przeczuwam, że albo mnie porzucisz, albo jakieś straszne nieszczęście wisi nad nami...

— Głupstwo... — i zamykał jej usta pocałunkiem.

Pewnego dnia, gdy jak zwykle wymykał się nad ranem z sypialni Marion, uściskawszy kochankę jeszcze bardziej serdecznie niż zwykle.

— Dziś, za parę godzin, dowiesz się o wszystkim! — wyrzekł poważnie. — Nakoniec skończą się nasze męki!

— Znowu tajemnica! — załkała przerażona — skonam z niepokoju!

— Więcej powiedzieć nie mam prawa!

Znikł w szarym świetle poranka... i więcej nie ujrziała go już nigdy Marion.

To, czego nie chciał, czy nie mógł wyjawic „Cinq Mars”, było ni mniej, ni więcej tylko spiskiem wymierzonym przeciw osobie krwawego kardynała Richelieu. Dufny w przyjaźń króla, dufny w rzekomą nienawiść Ludwika XIII do tyrańskiego dyktatora, przyłączył się do spisku młodzieży, mającego na celu obalenie wszechwładnego ministra. Może w istocie, jak przedstawił to w swej pięknej powieści p. t. „Cinq Mars ou une conjuration sous Louis XIII” — Alfred de Vigny — zachętę do swego postępku otrzymał bezpośrednio z ust monarchy, będące-

go jedynie z imienia monarchą? Może sniły mu się zaszczyty, dostojęstwa, zagarnięcie władzy i spuścizny po straszliwym Richelieu, związek jawny i legalny z ukochaną, bez przeszkód?

Dość, że stanął na czele spisku, jako jeden z przywódców. Ale Richelieu miał wszędzie szpiegów i świetnie umiał spasować każde uderzenie. Zamachowcy, nim zdążyli wrogie kroki przedsięwziąć, zostali momentalnie aresztowani i osadzeni w więzieniu. Równie szybko odbył się sąd i... nieszczęsny „Cinq Mars” wraz ze swym przyjacielem de Thon, za zdradę stanu, w 1642 r., złożyli głowy na szafocie. Dwulicowy Ludwik XIII palcem nawet nie kiwnął, aby uratować ulubieńca, „którego kochał jak brata” i dla świętego spokoju, nie chcąc narażać się kardynałowi, poświęcił faworyta, który w gruncie rzeczy dlań się poświęcał, starając się przywrócić monarsze godność i utraconą władzę...

Nie zagłębiajmy się w historyczne szczegóły, są zbyt przykre i tragiczne... Jeden Richelieu, jak zwykle triumfował, syt zemsty — upokorzył króla, uśmiercił wroga... unicestwił Marion Delorme!

Gdy Marion przyniesiono żalobną wiadomość, zbladła. Do ostatniej chwili łudziła się, że Ludwik XIII uratuje kochanka.

— Więc nie żyje — zawołała z rozpaczą —

a ja nawet nie mogę wycisnąć pocałunku na martwych wargach

Świadomość, że ordynarne ręce kata unosiły ku górze okrwawioną głowę Henryka, by okazać ją tłumom, była tak straszna, że biła z rozpaczny głową o mur, szalała, pragnęła nieprzytomna biec na ulicę szarpać, kasać Bogu ducha winnych przechodniów, żołnierzy, żandarmów — ledwie czterech silnych ludzi ją utrzymać mogło, wkońcu wyczerpana, nieprzytomna, runęła na podłogę i długich zużyto zabiegów, nim przywrócono Marion życie.

Przywrócono Marion do życia, lecz był to tylko cień dawnej świetnej kurtyzany. Wewnątrz wszystko umarło. Wyjechała na wieś, do swego majątku, gdzie przez rok, w zupełnem odosobnieniu, nie widywała nikogo, długie trawiać godzinę przed portretem ubóstwianego „Sin-mar'a“.

Gdyby panna Delorme, po stracie kochanka, albo była umarła z żalości i tęsknoty, albo też resztę lat życia spędziła, zachowując mu wierność i zmieniając poprzedni tryb postępowania całkowicie, mielibyśmy dla niej, mimo wszystko, szacunek najgłębszy i zapewne inny sąd wydałaby historia. Byłby to jeden ze świetniejszych przykładów miłości romantycznej czy przykła-

dów korzącej się Magdaleny, nawróconej jawno-grzesznicy.

Niestety, to co dalej nastąpiło, nosiło tak połowiczny charakter, że raczej świadczyć może o zaniku wszelkiej woli, lub do gruntu zepsutej naturze.

Marion spędza na wsi, w odosobnieniu rok, lecz po roku widzi, że zasoby materialne się wyczerpały, że szaleństwa popełnione swego czasu dla drogiego Henryka, zrujnowały ją doszczętnie, iż zewsząd nachodzą o długi, grozi ruina i nędza. Niczego w życiu się tak nie obawiała, jak nędzy. Co robić? Wstąpić do klasztoru? Brr... Nie! Ona powróci do poprzednich praktyk, ale nie przestanie rozpaczać po ukochanym! Znow sprzedawać się będzie, ale jemu wierności dochowa... bo nigdy nie pokocha drugiego! Zaiste, rozumowanie godne kurtyzany i z psychologią kurtyzany całkowicie zgodne! Na istotne poświęcenie zbyt jest słabą, zbyt kocha rozkosz, przepych, wygody, pieniądze i... samą siebie!

Zrzuca tedy żalobę, powraca do Paryża i zostaje „przyjaciółką“ arcy-bogatego niemieckiego żyda Natana Rozelmana. Rozelman jest brzydki, stary, wstrętny. Cóż ją to obchodzi? Wszak on tylko płaci! Ma znow stroje, klejnoty, służbę, pałac, powozy... a potrzebom serca zadość czyni, spędzając co dnia godzin parę przed

oprawnym w złoto i brylanty portretem „Sin-mar'a”.

Gdy Rozelmanowi zabrakło pieniędzy, czy uprzykrzył sobie kosztowną amantkę... przyszli inni, których niema potrzeby wymieniać. Takimi były ostatnie sześć lat życia panny Marion, takimi jej postęпки i takim charakter.

W jednej tylko rzeczy pozostała nieprzeje-dnana. W niezachwianej nienawiści do Richelieu, królewskiego dworu oraz tych, co w ten lub inny sposób do śmierci Henryka się przyczynili. Gdy wkrótce po tragicznych wypadkach zmarł kardynał a w niespełna w rok wślad za nim prze-niósł się do wieczności Ludwik XIII, głośno objawiała swą radość, twierdząc, iż to kara nie-bios ich spotyka za morderstwo niewinnego. Na-wet te dwa wypadki, zgon dwóch „najzawzięt-szych wrogów” nie złagodził gniewu zawziętej Marion. Niecierpi wszystkiego, co związane jest ze starym „regime'em”, niecierpi królowej Anny Austryjaczki i kardynała Mazzarin'a. Chętnie przyjmuje udział w zamachach i spiskach, a gdy wybucha osławiona „Frona”, skierowana prze-ciw prawowitej władzy, pierwsza staje w jej sze-regach, oddając do dyspozycji przywódców swój pałacyk na potajemne narady, gdzie często na-potkać można głównych sprzysiężonych: księcia Kondeusza, ks. Conti i ks. de Longeville.

Działalność polityczna kurtyzany zwróciła

nakoniec uwagę dworu; zamierzano ją unieszko-dliwić, osadzając w Bastylji i odnośny dekret został przygotowany. Możliwem jest w zupełno-ści, że byłaby się znalazła w straszliwym więzie-niu, gdyby nie nieprzewidziany wypadek — jej nagła śmierć. Zmarła Marion Delorme w 1650 r., mając lat czterdzieści cztery, po trzydniowej chorobie, piękna i czarująca aż do chwili ostat-niej. Gdy dowiedziała się, iż żadnej nadziei już lekarze nie czynią, zawezwała spowiednika, spowiadała się długo, poczem skołała, trzyma-jąc w objęciach portret „Sin-mar'a”.

Śmierć Marion uczyniła w Paryżu wrażenie wielkie. Opłakiwano ją powszechnie; szczodra, nawet rozrzutna dla biednych i plebsu, cieszyła się uwielbieniem prostaków, sfery wyższe wi-działy w niej uosobienie francuskiego dowcipu, czaru i wdzięku. To też tłumy dążyły za jej ża-łobnym konduktem, a pierwszy kochanek — poeta Jacek Des Barreaux wydrukował na cześć panny Delorme wiersz, rozrzucany w setkach egzemplarzy.

— — — — —
Ze śmiercią Marion Delorme legenda się nie kończy, rozpoczyna się właściwie.

Gdy umiera nagłą śmiercią jakaś popularna a nieprzeciętna jednostka, fama ludowa z tru-dem godzi się z podobnym faktem i za wszelką cenę udowadnia, iż dana osoba nie umarła, a sy-

mulowała śmierć jedynie, aby nadal pędzić żywot w innych krainach i w innych warunkach.

Toż samo było z Marion. Twierdzono, iż obawiając się osadzenia z Bastylji, włożyła do trumny lalkę, poczem przyjrzawszy się ceremonjom pogrzebowym, wyjechała pocichu do Anglji, gdzie wyszła zamąż za jakiegoś lorda i w szczęśliwym pożyciu małżeńskim doczekała się poważnego wieku, dziewięćdziesięciu dziewięciu lat.

Że podobne brednie chętnie na ucho szepcą sobie kumoszki o tem wiemy, ale natomiast faktem jest zastanawiającym, że w 1740 r. zwracała się do króla Ludwika XV jakaś staruszka z prośbą o pomoc, a w swem podaniu oświadczyła, iż liczy tylko 134 lat i jest... Marion Delorme, ściślej Anną-Marją Grappain. Król nie przejął się tym faktem zbyt i zbyt, zapewne niezbyt normalną maniaczkę, paroluidorową jałmużną. Natomiast niektórzy żądni sensacji pisarze przejęli się tem wielce i nie omieszkali snuć przeróżne wnioski, ba, nawet opisywać trwające niemal przez półtora wieku przygody kurtyzany. Odszukano nawet akt zejścia, z którego jak na dłoni wynikało, że panna Grappain zmarła, mając sto trzydzieści sześć lat.

KONIEC.



160

115034